

Maja Lidia Kossakowska

**Upiór Południa.
Czerń**

2009

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Projekt okładki:

Piotr Cieśliński

Ilustracje:

Dominik Broniek

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-7574-112-4

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Upiór Południa

1. **Czerń**
2. Pamięć Umarłych
3. Burzowe Kocię
4. Czas mgieł

Preludium

Na twoim miejscu bym tego nie robił.

To nie jest groźba ani ostrzeżenie. Ja nie grożę ani nie ostrzegam. To proste stwierdzenie faktu.

Na twoim miejscu nie robiłbym tego, chłopie.

Nie pakowałbym się w te historie. Jasne, wydają się atrakcyjne, egzotyczne, pociągające. Po prostu fajne. I zapewne są takie.

Ale nie dla ciebie.

Pustynia patrzy na mnie czerwoną, wyschlą kataraktą spękanej ziemi. W oddali majaczą blade, błękitne i fioletowe masywy gór Atlas. Wyglądają jak uśpione wielbłądy. Szosy prawie nie widać. To ta spękana, cienka tasiemka wypłowiałego burego asfaltu, rzucona na rudy lateryt gleby. A tamta cienka kreska na horyzoncie, przypominająca zbyt zamaszysty ślad ołówka na delikatnej powierzchni akwareli, to rzymski akwedukt. Lubię to miejsce. Ruiny pośrodku czerwonej pustki. Odpręża mnie tutejszy nastrój, lekko nostalgiczny, kwaśnawy aromat zatechłego grobu. Siedzę w kucki na szczycie marmurowego krużganka. Czeka. Mam tu na co czekać.

Ty nie masz czego szukać.

Podnoszę głowę, przymykam powieki. Wiatr się wzmaga. Niesie z rozpalonego wnętrza kontynentu drobiny piasku. Można się nim upić, tym wiatrem. Zachłysnąć, oszołomić, do głębi nałykać zwierzęcym szaleństwem, zapomnieć. Nafukać lepiej niż jakimkolwiek kwasem, który miałeś w wilgotnych, słabych dłoniach dzieciaka z dobrego domu.

Nie lubię cię.

Wkurzasz mnie. Przeszkadzasz. Zaburzasz mój niespokojny odpoczynek, moje niecierpliwe wyczekiwanie. Moją chwilę ciszy przed sztormem. Pstrykasz te swoje idiotyczne zdjęcia, ten bezmyślny testament zdychających w upale wakacji. Twoja brzydka, naburmuszona laska gapi się na starożytne kolumny z miną zblazowanego klienta burdelu wybrzydającego nad przebrzmiałą urodą pańienek. Wachluje się mapą turystyczną, że niby tak jej nudno i gorąco.

Znam takie jak ona. Płaska, pospolita twarz bez śladu makijażu, na opitolonych jak po tyfusie mysich włosach szmaciany kapelus z gwizdnięty z pogrzebu niemowlęcia, bezkształtna

bluzka, workowate spodnie do kolan i sandały, które wyglądają, jakby ubogi Mandingo wyciął je ze starej opony. Kwintesencja współczesnej kobiecości. Panna Jesteś Tego Warta. *Vagina Dolorosa*.

Wiesz co? Ona też mnie wkurza.

Coś mi się zdaje, że wybraliście się w niewłaściwe miejsce o bardzo niewłaściwej porze.

Niewiedza niczego nie usprawiedliwia. Przeciwnie. Jeśli jesteś, kurwa, za durny, żeby się tego domyślić, to pewnie nie masz prawa żyć. Bezlitosna matka przyroda już o to zadba, chłopie. Tak mi się jakoś widzi.

Poprawiam poły skórzanego płaszcza, bujam się na obcasach kowbojek. Mały, płaski, przezroczysty skorpion przebiega po kamieniach. Jaszczurka, złota, metaliczna jak elegancki długopis, leży tuż koło mojego buta, pijąc gorąco wprost z marmuru i powietrza. Niebieski pasek na jej boku przypomina ślad flamastra. Marker podkreślający jej krótkie, nieważne istnienie.

Takie jak twoje, bracie.

Poprawiasz pingle na szerokim nosie przygłupa i pstrykasz te swoje foty, jakby ci to mogło zastąpić porządny seks albo dobrą bójkę.

Swojej odętej księżniczki oczywiście nie wolno ci sfotografować. Ona sobie nie życzy. To głupie, nie będzie się mizdrzyć, a poza tym nie, bo taki ma kaprys.

Jeśli o mnie chodzi, to mógłbym najwyżej wgnieść jej mordę butem w piasek i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Nic specjalnego, obawiam się.

Ale tobie zostaje machanie cyfrówką nad stelą grobową jakiegoś pieprzonego rzymskiego legionisty sprzed dwudziestu wieków.

W powietrzu unosi się coraz więcej kwarcowego, rudego pyłu. Naciągam kapelusz głębiej na czoło. Szerokie rondo zasłania mi pół twarzy. Leniwym gestem sięgam do kieszeni, wydaję papierosa. Strzela zippo, ogień parzy palce, którymi staram się osłonić go od wiatru.

Wiatr. Pachnie pustynią. Siłą, dzikością, szaleństwem. Groźbą, gniewem i aktami desperacji. Zbrodnią. Zamykam z lubością oczy, chłonę każdy suchy, gorący powiew. Nadchodzi to, na co tak długo czekałem.

Hamsin.

To moja pora. Czas upału i niezdrowych zmysłów. Ładowania akumulatorów na cały pieprzony rok. Czas wynajdowania nowych historii.

Upuszczam peta na antyczny bruk ulicy. Wpada prosto w koleinę wyżłobioną w kamieniu przez koła setek rydwanów.

Nie widzisz mnie, choć siedzę jak gargulec prawie nad twoją głową. Jasne, że nie widzisz. Nie rzucam cienia.

Dobra. Chyba trzeba zejść i się przywitać. Nazywają to ponoć dobrym wychowaniem.

Zeskakuję z muru na marmurowe płyty chodnika. Jedna pęka pod moim ciężarem na równe połowy. Łuuup, mówią moje buty.

– Aaaaa – bezmyślnie rozdziawiasz usta.

Złota jaszczurka przestraszona śmiga do dziury pod kamieniami. Wąski, lśniący pocisk z rozgrzanego na słońcu mosiądzu.

W powietrzu czuć zapowiedź burzy.

*Patrzę na Boga za jego biurkiem, jak robi notatki
w swoim bloku, ale Bóg nie ma racji.
Nie jesteśmy czymś szczególnym.
Nie jesteśmy też byle czym ani śmieciem.
Po prostu jesteśmy*

Chuck Palahniuk: Fight Club

Czerń

Afryka oślepia.

W jednej chwili siedzisz sobie w komfortowej niewygodzie rejsowego samolotu Air France, aż nagle otwierają się drzwi i do metalowej skorupy, w której spędziłeś ostatnie parę godzin, wlewa się Afryka.

Z błękitnego zimna dwunastu tysięcy metrów zlatujesz wprost do podrównikowego piekarnika Matki Przyrody.

Matka Przyroda. Tak napisali w folderze wciśniętym za rozciągniętą siatkę sąsiedniego fotela. „Matka Przyroda stworzyła tutaj mnóstwo urokliwych zakątków”. Tak też mówią o Ziemi obrońcy naszej planety. Żywy organizm, bogini Gaja. Dziwne imię dla kupy kamieni otaczających wulkaniczne jądro. Ale dla Fonów bogiem może być stara czaszka zatknięta na patyku.

Wszystko zależy od punktu widzenia.

Pasażerowie, spragnieni „urokliwych zakątków”, wysypują się z samolotu wprost w jaskrawy żar. Większość ma w oczach rozczarowanie szczeniaka, który przegryzł ulubioną piłeczkę.

To już? To wszystko? A słonie, tubylcy w maskach, lwy i plemienni czarownicy?

A żyrafa? Kiedy, do diabła, pojawi się żyrafa?

Tymczasem przez łeb bez ostrzeżenia wałę zapach, kolor, gwar i przerażający, ciężki niczym biały marmur, wściekły nigeryjski upał.

Marla mówiła o nim „biały bokser”. I śmiała się. Jedyne, który kiedykolwiek znokautował tyłu czarnych przeciwników.

Kiedy któryś z nas wracał wreszcie w objęcia lobby baru hotelu „Meridien”, brudny, zatopiony we własnym pocie, oblepiony zaskorupiałą wylinką ubrania, płynęła przez hall, dzwoniąc kastanietami lodu w longdrinku z Johnniego Walkera, zielona nalepka, rozciągając w śmiechu wążutkie, czarne od szminki usta.

– Na litość boską, Jack! Nokaut techniczny w pierwszej rundzie! Wszyscy cali? Martwiliśmy się, wiesz?

Nie widziałem Marli trzy lata.

Tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dni obywałem się bez Lagos, hotelu „Meridien” i Marli Bjornsen. Bez światła, jakim promieniuje tylko nigeryjskie niebo.

Powiedzą wam Czarny Łąd? Bzdura! Afryka jest biała i oślepiająca – dokładnie tak, jak byśmy myśleli o Boskiej Światłości.

Stoję pod słońcem bezlitosnym niby jarzeniówka na sali operacyjnej, mrużę oczy i nie wiem czemu cieszę pysk, jakbym wybrał się na wymarzone safari.

A powinienem się bać. Powinienem się modlić, a może płakać. Powinienem myśleć o krwi i liczyć uderzenia tętna.

Ponieważ przyjechałem tutaj uspokajać upiory.

W głębi snu, w którym jestem, śmierdzi spalenizną. Nie ma nic prócz gęstego, ciemnego swądu, ale ja i tak zaczynam się miotać po dnie swego koszmaru, od ściany do ściany i na powrót, bo wiem dobrze, co zaraz nastąpi.

Ibo uważają, że w snach przemawiają do nas bogowie.

Albo czarownicy. Jeśli dobrze się wsłuchasz, rozróżnisz, czy woła do ciebie dobro, czy zło.

Ja słucham krótkiego, suchego klekotu i czuję tylko nasilający się smród palonego mięsa.

To dlatego, że bóg, który mówi do mnie nocą, nie jest prawdziwy.

Automat Kałasznikowa nie należy do sfery *oriszy*, nie staje się żadnym *juju*. Niektórzy wierzą, że mieszka w nim dusza, wojowniczy duch, fetysz. Ale to wszystko gówna prawda. Karabin automatyczny nie ma nic wspólnego z fetyszem. Jest wielkim przełomem, krokiem ewolucji, cywilizacyjnym postępek lepszym niż pieprzona rewolucja neolityczna.

Ale nie bogiem.

Leżę w głębi snu, spocony, zszargany, przerażony, i kompletnie nic nie mogę zrobić. Kiedy już zdam sobie z tego sprawę, nadchodzi zimno. Zimno malarii. Jak we wszystkich tych debilnych reklamach z lodowcami grenlandzkimi w tle. Z lodówkami skutymi lodem i laskami w bikini, których miodowa skóra pokrywa się w mgnieniu oka srebrną mgiełką szronu. Sarnie oczy zachodzą szklanymi łzami, a na rzęsach skrzą się diamenty. Blade jak sople usta rozchylają się kusząco.

Poczuj ekstraodlotowy chłód supergumy z arktycznym mrozem w środku.

I śnieżny całus spływający z dłoni. Pocałunek Królowy Śnieżki.

Kostnieję w jednej chwili, do spółki z zachwyconym koleśkiem z ekranu, który ma już gębę pełną świeżości, ale daleko mi do ożywczego szczęścia.

Zamarzam.

Podobno ludzkie ciało w siedemdziesięciu procentach składa się z wody. A teraz ta woda ścina się na srebrzyście lodowy kamień.

Zamarzam.

W jednej chwili zamieniam się w sorbet o smaku krwi. Nie mam za dużo czasu, żeby o tym myśleć, bo zaraz przychodzą dreszcze. Trzęsę się jak epileptyk, a serce i reszta podrobów podrygują we mnie w zupełnie innym, własnym rytmie.

Grenlandzka królowa od gummy do zucia patrzy na mnie z głębin kosmicznej otchłani zera absolutnego. Ale ja wiem, co zaraz nastąpi, i pocę się strachem, oddycham paniką.

Jestem podrygującym z zimna i przerażenia krwistym sorbetem.

Bo właśnie nadchodzi pora, żeby nieboszczycy wyszli z grobów i ruszyli w odwiedziny.

Fabienne poznałem, kiedy byłem właściwie wrakiem człowieka. Wypaloną, dymiącą skorupą z kości i wspomnień. Moja twarz przypominała warzywo, którego zapomniano w lodówce. Zwiędła, sinawa, pomarszczona. Pośrodku tkwiły dwa zgniłe zagłębienia oczodołów. Resztę stanowiła miękka bulwa bez kształtu i barwy. Zdumiewające, jak można spuchnąć po lekach uspokajających i nasennych. Spuchnąć wewnętrznie. Na zewnątrz byłem chudy jak zapalka, bo nieustannie gorączkowałem, a na widok jedzenia zbierało mi się na wymiotne skurcze. W środku jednak czułem się napompowany jak Etos. Po brzegi rozdęty smutkiem i lękiem.

Zdruzgotany.

W życiu nie przypuszczałem, że to może się stać. Że się zupełnie zawalę, jak wieżowiec rąbnięty w bok samolotem.

Miałem napady paniki. Nie spałem. Wybuchalem histerycznym płaczem. I ciągle trzęsło mną malaryczne afrykańskie zimno.

Teraz już wiem. Płakałem, bo bóg mnie opuścił.

Nie, źle mówię. To ja opuściłem jego.

Nic mi nie pomagało. Lekarstwa, terapie, zajęcia grupowe i indywidualne. Joruba wysmiałiby cały ten cyrk i powiedzieli, że czas odwiedzić mądrego *babalawo*, żeby odczynił urok. Ale wtedy byłem wielkim, wszechwładnym *oibo*, białym, i wszystko wiedziałem najlepiej.

Fabienne stała się moją pomocą, moim leczniczym *juju*, zupełnie przez przypadek. Nie jestem pewien, czy Bob zdawał sobie sprawę, że rzuca mi tę francuską, cytrusowo słoneczną dziewczynę prosto w ręce jak koło ratunkowe od przyjaciela. Być może tak. Bob nie jest głupi. I bardzo nie lubi niepotrzebnie tracić dobrych pracowników.

W każdym razie stała przede mną, wysoka, złocista opalenizną, w kwiecistej sukience i sandałach na szpilce, z makijażem starannym, równiutkim i wyrazistszym niż znak drogowy. Nienaganna córka de Gaulle'a, Saint-Tropez i magdalenek na śniadanie. Ratunek dla tonącego.

Antidotum na jad afrykańskiego zimna.

Bob przedstawiał mnie właśnie jako coś pośredniego między gladiatorem, sumieniem narodu i Łazarzem wskrzeszonym przez Pana, gdy wysunęła dłoń ozdobioną tipsami w

dyskretnym kolorze wina *roze* i zagruchała słodko koszmarnym angielskim, że bardzo się cieszy poznać niezwykle człowieka, prawdziwy reporter wojenny, *incroyable*.

Wyciągnąłem rękę i zobaczyłem, że gapi się na blizny. Na poszarpane, paskudne strumienie, które opływają moje nadgarstki.

Wszyscy się na nie gapią. Przez jakiś czas nosiłem nawet grube skórzane bransolety z ćwiekami, bo tylko takie zasłaniały w miarę dokładnie moje osobiste *tribal marks*, znaki osobliwego plemienia naznaczonych środkowoafrykańską wojną, ale wyglądałem wtedy, jakbym zapomniał się przebrać po nagraniu pornoła sado-maso.

Nie jest tak źle. Szlag mnie już nie trafia, kiedy w oczach nowo poznanych ludzi widzę nagle to współczucie pomieszane z lekkim obrzydzeniem i nutką fascynacji. Aaaaa, samobójca!

To gorzej, niż gdybym miał aids albo wszawicę. Zaraz staję się zrównoważonym inaczej. Obiektem, od którego odwraca się z zażenowaniem wzrok, bo ja bym nigdy w życiu... no, no, coś podobnego.

Ludzie, to nie jest tak, jak myślicie.

Powinienem to nosić na tekturowej kartce na szyi. Albo wytatuować na kostkach rąk eleganckim gotykiem.

To nie jest tak, jak myślicie.

Nie ma się na co gapić.

Albo pierdol się, dziwko.

Nie będę przypinał mankietów koszuli agrafką do skóry tylko po to, żeby zapewnić ci komfort psychiczny.

Nie bardzo mi się spodobała tego pierwszego wieczoru. Jasne, była uderzająco śliczna, wystudiowana jak okładka „*Vouge'a*”. Dobrze skadrowana na nocnym tarasie knajpy. Kiedy tylko usłyszała, że mówię po francusku, rozpromieniła się i zaczęła zasypywać Boba i mnie stertą słów. Trajkotała jak nakręcany żołnierz. *Braka, braka, braka*. Seria za serią niekończących się zdań.

Siedziałem wstrząśnięty, gapiąc się z fascynacją na równiutko umalowane usta, które wyrzucały nieustanne strugi całkowicie nieistotnych informacji.

Zupełnie nagle pojąłem dlaczego.

Bo była normalna. Tak normalna jak żadna istota, z którą zadawałem się przez ostatnie lata.

Reporter wojenny nie spotyka na swej drodze nikogo takiego. Prawdę rzekłszy, spotyka samych posrańców.

Krótki błysk, Fabienne klekocze wesoło, a w mojej pamięci przesuwa się taśma pełna twarzy i nazwisk. Współpracownicy, przyjaciele, wrogowie.

Mark, świr kliniczny.

Gouillome, furiat i schizofrenik.

Williamson. Tragiczny przypadek wariata ogarniętego megalomanią.

Marla. Boże, miłosierdzia! Marla jest najbardziej kopnięta z nich wszystkich.

Femi. Nigdy nie otrząsała się z paniki. Nocą płacze i chowa się pod łóżko. Smutne.

I Jacques. Trup ze spaloną głową.

Normalni? Nie znaleziono.

A tu cytrusowy cud pachnący wodą toaletową Diora. Domek na przedmieściu, *barbecue* w ogrodzie, posada w szacownej gazecie, kotwica u szyi zagrzebana po wręby w mule przeciętności.

Jezu, i może znów zacznę normalnie spać.

Wtedy myślałem, że się boję. Że chcę skończyć z Afryką raz na zawsze. Że nigdy nie wrócę do wrzaskliwego, smrodliwego, kolorowego smutku Lagos. Że na zawsze zatrzasnąłem drzwi rozpalonego gęstym upałem lobby hotelu „Meridien”.

Ale myliłem się. Cały ten czas tęskniłem bez przerwy. Tęskniłem jak cholera.

Dobre lekarstwo często ma gorzki smak, no nie? Fabienne okazała się naprawdę dobrym lekarstwem. Gorzkim jak jej aloesowy płyn do włosów.

Ona naprawdę obsesyjnie kocha ten podszyty wiecznym strachem przed wędnięciem, okłapywaniem, marszczeniem i wysychaniem rytuał dbania o ciało. Wciera w siebie taką ilość balsamów, olejków i kremów, że powinna podwoić objętość. Jest w tym coś z zapamiętania afrykańskich wyznawców *oriszy*. Trans pulsujący w żyłach, szal i mistyczny lęk obcowania z bóstwem. Chwila zjednoczenia z Oszun, Afrodytą religii *ifa*.

Pamiętam dziewczyny opętane duchem Oszun. Poruszały się z takim samym nerwowym wdziękiem, przesadną gestykulacją. Zupełnie jak moja narzeczona wklepująca serum w słoneczną, złotawą skórę francuskiej piękności.

Tyle że Fabienne staje się Afrodytą samą dla siebie.

I będzie żoną dla mnie.

Chciałbym sobie przypomnieć, kiedy ta decyzja zapadła. Oświadczyłem się, do diabła? Z pierścionkiem, różami, czardaszem rzępolonym na skrzypkach przez marsylskiego Cygana z przyprawionymi wąsami? Nie sądzę. Naprawdę nie mam pojęcia. W miejscu tego wydarzenia ziele dziura. Tak ma być i już. Tak orzekli starsi klanu. Pobłogosławili przodkowie. Wymieniono dary, zdaje się. Ona przyniosła w posagu stabilną, kojącą normalność. Ja powiew egzotyki i blichtr wielkiego świata.

Cieszę się, rzecz jasna.

Nie wiem tylko, czy to naprawdę dobrze, kiedy lekarstwo przemienia się w nałóg.

Nie jest najlepiej. Naprawdę niedobrze.

Tak jak w starym dowcipie. Chciałem powiedzieć: „Podaj mi sól, kochanie”, a wyszło: „Może powinienem wrócić do Afryki”.

I zatrzęsło się nasze małe niebo. Poranek skwaśniał jak mleko w bawarce, miseczka wypłuła na wpół rozmięktą magdalenkę, grill do barbecue upadł na wznak, morele pospadały z drzew w ogródku.

Groza. Groza. Groza.

Cytrusowa księżniczka siedzi obrażona, a ja gapię się na własne palce. Równiutko umalowane cyklamenowe usta milczą wymownie, choć dobrze wiem, co chcą mi powiedzieć.

Jak mogłeś to zrobić!

Jakbym nagle przyznał się, że w niemowlęctwie zabiłem JFK-a. „Ach, skarbie, byłbym zapomniał. Wrócę później, bo muszę zamordować parę osób. Takie hobby, o którym jeszcze ci nie opowiadałem”. Coś w tym rodzaju, mniej więcej. Pozdrowienia od wykrzywionych cierpieniem usteczek w kolorze cyklamenu.

Rzecz w tym, że Fabienne nic nie rozumie. Lekarstwo przestaje działać. Ona przestaje działać. Już nie jest barierą między mną a upiorami. Nie mogę się dłużej oszukiwać.

To cholernie niedobrze, fakt.

Ale nie wolno mi zamykać oczu. Nie wolno znów zwariować. Nie chcę więcej bezsennych nocy, mokrych od potu, lepkich od krwi, wypełnionych smrodem palonego mięsa. Nie chcę prochów łykanych garściami, trzęsących się rąk, nagłych napadów płaczu. Muszę się bronić.

Muszę wrócić do Afryki.

Zaczęło się jak zwykle od snów. Od swądu i głuchych poszczekiwań automatu. Jeszcze się wtedy nie bałem. Jeszcze nie zrozumiałem, że moje tajemne złotoskóre lekarstwo przestaje działać.

A wówczas przyszedł Jacques.

Wszedł w cichą, senną lionską noc i stał nade mną z uśmiechem na twarzy. Już nie Biały, *oibo*. Czarny jak ebonitowa wtyczka.

Widziałem zęby połyskujące przez dziury w policzkach. Odłóżką płątami, pozwijaną od gorąca skórę. Białawe jajka ugotowanych oczu. Łysą czaszkę udekorowaną kępami płonących włosów.

Mój kumpel Jacques przybył w odwiedzin.

Bił od niego żar niczym z pieca hutniczego. Czerwony, krwawy żar śmierci.

Wrzeszczałbym, gdyby nie ściśnięte gardło. Wrzeszczałbym z wściekłości i strachu, bo przecież dawno powinien obracać się w proch gdzieś na cmentarzu w Roins, czy skąd tam pochodził, pochowany, oplakany przez siostrę i niezliczonych kuzynów.

Żegnaj, Jacques! Nieodżałowany, kryształowego charakteru, szczyt odwagi, śmierć na posterunku, bla, bla, bla! Żegnaj, chłopie. Spoczywaj w pokoju. I wynoś się z mojego życia! Won!

Nic z tego. Mój martwy, spalony żywcem współpracownik, rzutki, małowówny, zawsze perfekcyjnie zorganizowany Jacques, nie ma ochoty leżeć w grobie. Woli przychodzić w odwiedziny. Co noc.

A ja wiem, że nie jest sam. Słyszę jego bosonogą świtę poruszającą się w ciemności.

Stłumione chichoty, półsłówka, przyspieszone oddechy.

Plask, plask, plask, tupią po parkiecie.

Klik-klak, mówi kałasznikow.

Upiór mojego kumpla z pobłażaniem potrząsa głową.

Dzieciaki! Takie już są, *nest – ce pas?*

Leżę w łóżku, wstrząsany dreszczami, tonąc w strugach potu, i patrzę, jak się uśmiecha. Upieczone usta rozciągają się lekko, smutno. Wyciąga rękę.

Chodź do mnie, bracie. Chodź do mnie. Polej sobie łeb benzyną, podpal i dołącz do naszego małego klubu.

Nie rozumiesz, Jacques. Jak ty nic nie rozumiesz.

Prawda wygląda tak, że bardzo nie chcę tego robić.

Za żadne pieprzone skarby.

Fabienne zwyciężyła. Niczym Anglicy pod Sommą. No bo co miałem powiedzieć na te wszystkie: „Ale przecież!”, „Na miłość boską!”, „Dlaczego mi to robisz?” i „Co ci szkodzi spróbować?”.

Nic.

Nie szkodzi.

Ale i nie pomoże.

Nie, skarbie. Nie na martwego fotoreportera i grupę szczeniaków z automatami. Wiem, bo już to przerabiałem.

I flaki mi się ściskają, kiedy słyszę wyraz „terapia”.

Siedzę jednak na brzydkim, niewygodnym krzeselku, ciaśniutkim jak ścieżka cnotliwych uczynków, a przede mną, za bezludną wysepką biurka, sepleni pani doktor od chorej duszy. Duża, kulista główka pacynki kołysze się monotennie. Ciemne, przystrzyżone starannie włosy wydają się namalowane na czaszce. W ogóle wygląda jak postać z kreskówki. Jakby wypadła z Pixara. Kartoflowaty nos, okrągłe ślepka, wielkie rogowe okulary.

Specjalistka gotowa porozkładać na części moją niezdrową banię.

Wiercę się trochę, poręcze obejmują mnie miłośnie i z troską, w sposób, jakiego można się spodziewać po werbunkowym podupadającej sekty, a ja wciąż nie mogę pojąć, co tu, u diabła, robię?

Terapeutka nie patrzy na mnie. Mówi monotonnym, nosowym głosem, jak afrykański opowiadacz. Z takim samym namaszczeniem recytuje z pamięci podstawy swojej wiary,

mityczne opowieści z podręcznika. Słyszę szelest kartek i widzę przesuwane się przed oczami kolumny tekstu.

– Typowy przykład uzależnienia adrenalinowego... Środki zaradcze... Poważne schorzenie... W dzisiejszym świecie uzależnienia...

Uzależnienie to chyba jej ulubione słowo. Powtarza je z upodobaniem, składając usta w dzióbek, jakby żuła kwaskową landrynkę.

– Cmok, cmok, kwaśny cukiereczek, uzależniony...

Patrząc na jej okrągłutki łeppek pełen naukowych mądrości i trochę chce mi się śmiać. Nie takich rzeczy już się o sobie dowiadywałem. W Ruandzie na przykład, kiedy wraz z Markiem i Josem spieprzaliśmy po górach przed wyjątkowo rozwścieczonymi Hutu, w towarzystwie smutnych długorogich krów i paru Tutsi, w tym kardiochirurga z Liege i profesora prawa międzynarodowego dającego regularne wykłady na Sorbonie, przekonałem się, jak bardzo jestem uzależniony od butów. Albo od wody. Z powodu tego zgubnego nałogu mało nie pozostałem na zawsze w Mauretanii, na środku Sahary, w formie skryształizowanej z gorącą kupki kości, bo ciężarówka się zepsuła. Popadałem też w bardzo poważny nałóg zapalkowy, bywałem uzależniony od noża, pigułek na malarię, kawałka starej moskitiery lub wytartego słomianego kapelusza.

Nie mówiąc już o Marli Bjornsen. O tak, przez jakiś czas Marla była moim poważnym nałogiem.

Ale teraz to już skończone. Teraz jest Fabienne i jej spokojne, senne lionskie przedmieście.

Lekarka z Pixara mruga do mnie ślepkami uwięzionymi w terrarium okularów.

– Swoją fascynację Afryką może pan przecież przekuć w pożyteczną, ważną działalność także we Francji, panie Wilczynsky. Niekoniecznie musi pan zawsze znajdować się w centrum każdego konfliktu. Są przecież organizacje charytatywne, zrzeszenia pomocy dla Czarnego Łądu, placówki działające przy ONZ-ecie czy UNESCO. I niech pan uprawia jakieś sporty. Snowboard, motocross, spływy kajakowe, coś, co pozwoli panu poczuć zew przygody. Może pan kupić skuter wodny albo zapisać się na kurs pilotażu...

Uśmiecham się.

W porządku. Naprawdę w porządku.

Doceniam twój szeleszczący podręcznik i twoje dobre chęci. Tylko widzisz, siostrze. Ja przecież latam. Cały czas szybuję jak pieprzony model na uwięzi.

Nie wiem, czy na pewno wszystko dobrze pamiętam. Chyba nie. Moje wspomnienia są dziurawe jak ser szwajcarski. Coś się z pewnością wydarzyło. Mnóstwo pretensji, trzaskanie drzwiami, szloch i krzyki. Tak, szloch i krzyki zdarzyły się na pewno. Tyle że w mojej pamięci wszystko jest teraz płaskie i czarno-białe, niczym stary film Bergmana.

„Szloch i krzyki”. Dziś w kinie nocnym.

Po prostu stary film.

Jestem w Lagos. Jadę taksówką do hotelu „Meridien”.

Wciąż nie bardzo potrafię uwierzyć.

Zdezelowany peugeot wbija się w zwarte mięso brudnego, smrodliwego ulicznego korka. A wokół wrzeszczy, kopci, pichci, śmieci, kłębi się i przemieszcza nieustannymi falami miasto, którego tak bardzo się bałem, do którego tak bardzo tęskniłem.

Afryka znów mnie oślepia.

Wszystko zaczęło się chyba na tym nieszczęsnym przyjęciu. Na wymarzonym *barbecue* Fabienne, które miało pełnić rolę czegoś w rodzaju naszych zaręczyn. Był Bob oraz niezliczona ilość niezamężnych koleżanek z pracy, które zgodnie z oczekiwaniami patrzyły z zazdrością i wygłaszały nieszczere gratulacje.

Rodzice Fabienne nie żyją, zginęli, zdaje się, w jakimś wypadku, ale przybył jej starszy brat, prawnik, z dziećmiakami, jak objaśniła mi z emfazą moja cytrusowa narzeczona.

Muszę być szczery. Już wtedy poczułem dreszcz niepokoju, takie głębokie tąpnięcie, gdy w środku pękały kry i zaczynał się sączyć jad lodowego afrykańskiego zimna.

Powinienem być czujny. Powinienem natychmiast wypić za winklem butelkę kwaśnawego wina albo przynajmniej ze trzy whisky duszkiem, walnąć głową o kafle w łazience lub połknąć garść proszków nasennych, żeby się trochę oszołomić, ale, niestety, jak kretyn zignorowałem pozdrowienia od grenlandzkiej królowej.

Fatalnie.

Na razie jeszcze nie przeczuwałem katastrofy.

Na razie niewinny swąd przypalanych na ruszcie mergezów i antrykotów nie wzbudził we mnie podejrzeń.

Paul, brat Fabienne, okazał się wysokim, kostycznym facetem wypranym z jakichkolwiek śladów poczucia humoru. W jego towarzystwie wiodły mandarynki, a suflety okłapywały niczym dziurawa sekslalka. Na prawniczych podporach jego ramion ślizgała się limfatyczna, lejąca się przez ręce blondynka określana żalonym mianem „małżonki”, jakby szkoda było zachodu na wymyślanie jej imienia.

Przyszedł Paul z małżonką.

Jezu. I psy wyły do księżycy.

A malaryczny mróz lał się strugami do moich żył, mroząc szpik w kościach.

Tymczasem przez schludną furteczkę w szpalerze cyprysników i bambusów wnikała do ogródka reszta rodziny mojej pięknej przyszłej żony.

Jakieś stareńkie ciotki czy babki z Auvergne, w odświętnych wiejskich kieckach trumiennych, które szykowały na śluby wnuczek i własne pogrzeby, niezgrabnie podające ci sękaty palce do uściśnięcia, woniejące zapachem naftaliny, lawendy i nieodłącznych kozich serów. Wesołowaci kuzyni przy kości prowadzący równie obfite w kształtach, zarumienione

od upału żony. Banda „dzieciaków” tratująca trawnik i zapędzająca na drzewo przerażonego kota sąsiadów. Szacowni wujowie prowadzący praktyki dentystyczne. Szacowni wujowie pracujący w nieruchomościach. Siostrzenice, które bardzo dobrze się zapowiadają. Dalecy krewni.

Panopticum.

Ogród puchł niczym Alicja po zjedzeniu kawałka grzyba od Pana Gąsienicy.

Puchła też moja czaszka, zmieniając się powoli w salaterę krwistego sorbetu.

Jezu, i ten smród spalenizny.

Ten cholerny słodkawy śwąd.

To się po prostu nie mogło dobrze skończyć.

Wszystko nagle wraca, odbija się czkawką pamięci, tutaj, w drodze na Victoria Island, w korku na Adetokunbo Ademola Street, tuż obok połamanej białej bryły „Meridien Eko Hotel”. Na sąsiednim pasie przepycha się, trąbiąc jak wściekły słoń, żółty mikrobus taxi zwany tu „dalfu”. Jakiś gość na skuterze wrzeszczy i wygraża kierowcy pięścią, a tymczasem moja przeszłość wlewa się w tę rzeczywistość, okleja ją szczelnie, zapelnia.

Znów jestem w ogrodzie, prześladowany zapachem szaszłyków i mergezów, otoczony widmami wspomnień.

– Jak pan się nazywa? Wi...cośtam?

– Wilczyński.

– O, bardzo egzotycznie. *Tcheque? Polonais?* Fabienne coś wspominała, zdaje się. Zaraz, zaraz. *Pologne?* To gdzieś w środkowej Rosji, *n'est – ce pas?*

Śwąd spalenizny zaczyna się nasilać.

Uśmiecham się. Bolą mnie zęby od tego uśmiechu, kąciki ust ciągną, jakby ktoś spiął je z tyłu gumką. Ok, przetrwam. Co mi innego zostało? Nie upieram się już, że polski nie jest dialektem rosyjskiego. Nie mówię ani słowa o pakcie Ribbentrop – Mołotow. Nie wspominam o Jałcie. Przyznaję, że kawior i bliny to nasza rosyjska narodowa potrawa.

Milczę.

Uśmiecham się.

Przetrwam.

Dusi mnie kołnierzyk koszuli. Nie lubię koszul. Nie lubię niedoprawionych, poprzerastanych antrykotów z grilla. Nie lubię Lyonu, miasta bez odrobiny przestrzeni, spiętrzonych kanionów kamienic, gdzie skwerek maleńki jak chustka do nosa to już ogromny plac. Miasta zabudowanego po wręby mieszczańską tradycją, ciasnego jak horyzonty prawnika Paula z małżonką.

Nawet śmiać mi się nie chce. Nawet drwić.

Malaria szepcze do mnie czule, lód w mojej głowie zaraz rozsądzi puszkę mózgową, czuję, jak tyka niewidzialny zegar uzbrojonej bomby.

Szlag mnie zaraz trafi. Zacznę wrzeszczeć, wyrzucę stąd tłum tych strasznych dupków, trzasnę drzwiami i wyjdę. Wyprowadzę się w cholere, wrócę do zawodu, wrócę do Afryki, znów będę patrzył na pieprzone palmy, na rozpalone upałem niebo, na kolory, jakich nigdzie indziej nie ma...

Ale Fabienne. Zaróżowione ze szczęścia smagłe policzki, błyszczące oczy Fabienne. Ożywione gesty, uśmiechy, radość.

Ogląda już siebie wpakowaną w abażur sukni ślubnej, słyszy szlochy zachwyconych ciotek, złośliwe syknięcia zazdrosnych koleżanek, przyjmuje uściski nobliwych wujów.

Boże. Nie mogę jej tego zrobić.

Nie wolno mi wybuchnąć niczym nadepnięta mina.

Uśmiecham się. Milczę. Trwam.

Stałem się człowiekiem usatkwowanym. Mam ustaloną pozycję, pisuję dobrze przyjmowane felietony w opiniotwórczych gazetach Bena, wypowiadam się jako ekspert, komentuję przewroty i krwawe afrykańskie jatki. Jestem ogólnie szanowany.

Pełen marznącej, krzepnącej krwi.

Nie ma się co oszukiwać.

Jestem pieprzonym tygrysem bez wąsów.

I tak już musi zostać.

Pewnie by zostało. Gdyby nie Jacques. Prawie – zhajcowany – Jacques, mój były kumpel, który także postanowił przybyć. Tak po prostu. Z piekła, hops, wprost na to infernalne *barbecue*.

Och, witam cię, przyjacielu.

Ale nie cieszę się zbytnio, wybacz. Szczerze mówiąc, chyba dostanę zawału.

Stałem, gniotąc w dłoni szklankę z ciepłym drinkiem, gapiąc się na upiora przechadzającego się między gośćmi, a straszna obręcz ścisnęła mi gardło, dławiła klatkę piersiową.

Był tam. O Jezu słodki! Był w całej swej upieczonej krasie. Uśmiechał się miło i machał mi opuchniętą, czarniawą ręką.

W biały dzień. Pośród tłumy ludzi.

Czułem, jak kolana robią mi się miękkie, pozbawione stawów, niczym rozgotowane bulwy manioku. Zegar w głowie odliczał ostatnie sekundy do wybuchu.

Widmo zbliżało się do mnie. Promieniowało tym śmiertelnym, hutniczym żarem, aż zacząłem się pocić.

Nie widywałem Jacques'a tak wyraźnie w środku dnia, mimo obecności innych ludzi, odkąd wyszedłem ze szpitala w Lagos. Długo to trwało, zanim przestał mnie nawiedzać. Zanim zatroskani lekarze garściami pigułek wygonili go z mego życia.

Ja nie mam na myśli wspomnień. Tych nie dało się wcale wygnać. Musicie mnie dobrze zrozumieć. Mówię o upiorze, realnym jak każdy z nas. O martwym człowieku, który towarzyszył mi krok w krok, dokądkolwiek poszedłem. O dzieciakach z kałazami i dziurami w głowach, którzy bawili się w chowanego wokół mojego łóżka.

Byli tam. Cały czas. Mógłbym ich dotknąć, gdybym chciał. Mógłbym sobie uciąć pogawędkę z Jacques'em, strzelić z nim piwko, pożartować.

Zamiast tego o mało nie wyskoczyłem przez okno. Biegłem szpitalnym korytarzem, dobrze pamiętając, ile betonu jest na dole, na parkingu, a za mną goniła banda widmowych bosonogich wyrostków, powiewając łachmanami jakichś egzotycznych mundurów i sypiąc kroplami krwi z pękniętych czaszek. W ostatniej chwili pielęgniarz podstawił mi nogę.

Prawdopodobnie dlatego żyję.

Oczywiście, gdybym zwrócił się po pomoc do *babalawo*, ten zapytałby o radę wyroczeni, a potem powiedział mi, czego chce mój były kumpel i reszta zmarłych oraz jak się od nich uwolnić.

Ale ja miałem dosyć czarów. Dosyć Afryki i jej pulsującej, głębokiej magicznej czerni.

Nie chciałem słuchać głosu bogów. Za to zufałem lekarzom.

Wyegzorczyzmowali mnie w końcu. Wepchnęli upiornego Jacques'a w mroczną sferę gorączkowych majaczeń, zaburzeń świadomości spowodowanych malarią i traumatycznymi przejściami. Wygnali go kolorowymi pastylkami i ceremoniami terapeutycznymi do schowka na szaleństwo, zamkniętego na gruby skobel, zarastającego pajęczynami.

Tkwił tam posłusznie aż do tego cholernego *barbecue*, wynurzając się tylko nocami, nieco ponad powierzchnię snów.

A teraz powrócił. Nieżywy i zdrowy, dotykalny niczym *orisza* podczas transu.

Święta Matko! Zaraz rąbnę na udar.

Szaleństwo w postaci martwego fotoreportera znów stanęło tuż przy mym boku.

O mało nie zemdlałem od żaru. A wtedy zza pleców widma wychyliła się kędzierzawa główka Murzynka. Tak na oko dziesięcioletniego. Dzieciak też się uśmiechał. Patrzył na mnie brązowymi oczami psotnego urwisa. A tuż nad nasadą płaskiego nosa świeciło mrocznym blaskiem inne, trzecie oko. Nigdy niemrugające, czarne i czerwone ślepię. Dziura po pocisku.

Trzask!

To poszła zgnieciona w palcach szklanka.

– Jack? Co się stało, Jack? – zaniepokojony świergot Fabienne.

Dochodzący z oddali, z kosmicznej głębi, z otchłani.

Och, nic, skarbie. To przybyła moja rodzina, moi najbliżsi. Przywitaj się grzecznie z rodziną przyszłego męża, kotku.

– Boże, pokaleczyłeś się! Cały garnitur zaplamiony! Przecież prosiłam, żebyś za dużo nie pił! Matko, co wszyscy sobie teraz pomyślą! Jaki wstyd przed ciocią Angele! Że też ty zawsze musisz... Jack? Słyszysz mnie? Jesteś strasznie błądy! Wszystko w porządku?

Murzynek szczerzy w uśmiechu zęby. Widzę wyraźnie szczerbę między siekaczami. Jacques podnosi do góry kciuk.

W porządku, uspokaja.

Kap, kap, kap, mówi krew.

Za plecami słyszę tupot bosych stóp.

Wszyscy tu jesteśmy, potwierdza kałasznikow.

Przypalone steki śmierdzą jak piekło.

I tak bardzo gorąco się robi. Powietrze gęstnieje, owija mi głowę, naciska. Lód w środku trzaska. Niedobrze. Bardzo źle, że tak napiera na bombę wewnątrz. Jeśli natychmiast nie przestanie, ładunek eksploduje.

Wiem o tym, jestem pewien.

Próbuję zrobić kilka kroków, uciec od tej powietrznej folii, która oblepia mnie coraz ciaśniej. Robię bezsensowne gesty rękami, sypiąc kawałki szkła i krople czerwieni. Widzę jeszcze, jak twarz Fabienne wykrzywia się w przerażeniu.

– Jack! O Boże, Jack!

Sorry, powiada puszka mózgowa i ustępuje jak zgnieciona babeczka. Zapalnik aktywuje ładunek. Lód i żar spotykają się. Wielkie bum, a potem robi się ciemno.

Przepraszam, kochanie, ale właśnie przepaliłem sobie bezpieczniki.

Nie doznałem wylewu. Nie mam pojęcia jakim cudem, bo moim zdaniem właśnie tak powinien wyglądać porządny udar mózgu. Oficjalna wersja brzmiała, że doznałem porażenia słonecznego i zemdlałem z gorąca.

Ach, ciociu Angele, pewnie wypił trochę za dużo drinków, tacy już są mężczyźni, okropnie mi przykro. Nie przejmuj się, dziecko, Rosjanie zawsze dużo piją. Czy to na pewno rozsądne wychodzić za cudzoziemca ze Wschodu, moja droga?

Ibo oczywiście powiedzieliby, że to bzdury naiwnych *oibo*. Każdy przecież widzi, że jestem pod władzą złego czaru. To robota czarownika albo wiedźmy. Kazaliby mi przeszukać cały dom, aż znajdę magiczny przedmiot, *wangi*, który zawiera w sobie klątwę. Kawalek kości, drzazgę, igłę oplecioną nicią, podejrzany kłębek wełny czy futra. Potem wystarczy wynająć dobrego *babalawo*, który zniweczy przekleństwo, zapłacić i modlić się, żeby wszystko przebiegło pomyślnie.

Ale tutaj sprawa była poważniejsza.

Moim *wangi*, zdaje się, miała się okazać cała Afryka. To ją musiałem wreszcie jakoś wyegzorcyzmować.

Moja babcia mawiała często: „Jeśli zapomnisz o czymś ważnym, wróć w to samo miejsce”.

Tyle że ja zapomniałem zdrowych zmysłów. A bez nich cholernie trudno sobie radzić.

Fabienne już nie potrafiła utrzymać mnie w stanie normalności. Jej czary przegrały z afrykańską klątwą. Moja choroba powróciła z nową siłą.

Europejscy lekarze są bezradni w konfrontacji z duchami.

Żeby przetrwać, żeby znów nie zwariować, musiałem wrócić do tamtych wydarzeń, poszukać ratunku w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Pokonać strach i ponownie znaleźć się w Nigerii.

Wybacz, skarbie. Afryka znów zwyciężyła.

Wspomnienia nie przypominają filmu, choć często tak o nich myślimy. Wielka biała bryła hotelu pojawiła się przede mną, natychmiast rozbijając w pył kliszę pamięci. Naprawdę było aż tyle masztów z łopoczącymi flagami różnych państw? Jakby wszyscy dyplomaci świata mieli obowiązek przynajmniej raz tu zawitać. Ukochana afrykańska przesada. Ależ jesteśmy internacjonalni, no, popatrzcie tylko. A tamte klomby z omdlałą zielenią, zrobili je niedawno czy wtedy też tu byli? Ile to bydlę ma pięter? Piętnaście? Zapomniałem.

Nieistotne.

Życie zatoczyło pętlę i znów postawiło mnie na schodach cholernego starego „Meridien”.

Alleluja!

Cieszyłbym się jak mieszkanka dżungli, która nagle znalazła na drodze porzucony garnek, gdybym nie musiał położyć do grobu aż tylu upiorów.

Drzwi rozsuwają się z sykiem teatralnej kurtyny. *Voilà!* Na scenę znów wkracza bohater zaginiony gdzieś w połowie pierwszego aktu.

Oklaski?

Wnętrze wydaje się ciemne po oślepiającym błękiecie na dworze. Mrużę oczy, ale nie wiem, czy wśród kiwających się na barowych stołkach cieni siedzi ktoś znajomy.

Myślicie, że poczułem się jak Odyseusz przybijający do brzegów Itaki? Pieprzyć. Gdzie tam. Miałem dość siedzenia w dusznej taksówce pośrodku najgorszego korka, jaki stworzyła cywilizacja Czarnego Lądu, chciałem wreszcie rozprostować nogi, wziąć prysznic i napić się czegoś zimnego, bo jakoś cholernie zaschło mi w ustach.

Zwyczajnie, jak to po podróży.

I oto proszę, lobby bar, pomrukująca klima, kafejka internetowa szumnie zwana centrum informacyjnym, senna recepcjonistka za kontuarem, wszystko jak dawniej, czas zamrożony niczym lód w niezliczonych drinkach z Johnnie Walkerem.

Staję niezdecydowany w połowie hallu, walizka ciąży mi w ręce. I niech mi nikt nie opowiada, że nie można cofnąć się w przeszłość.

– Nie! – mówi ktoś za moimi plecami. Dobitnie, z niedowierzaniem.

Odwracam się.

Ciemna, oliwkowa gęba, błysk pokazanych w uśmiechu zębów.

– Wilczyński? Niemożliwe!

Georgio Staffi, Agencja Reutersa.

– Co tu robisz, chłopie? Teraz to senne zadupie. Nic się nie dzieje. Wszyscy są w Kosowie, w Darfurze, w Tybecie. Tylko Lorna Danton tropi kolejne przejawy zabójczego globalizmu.

Śmiejemy się trochę, obwąchując jak psy, które nie są pewne, czy się lubią, czy gryzą.

Staffi przypatruje mi się podejrzliwie. Oczy ma czujne, usta uśmiechnięte. Wiem, co myśli, niemal widzę, co kłębi mu się pod czaszką. Po cholere przyjechałem? Czego tu szukam po latach? Słyszał, że już nie pracuję w branży. Słyszał, że zwariowałem i goniłem po korytarzach duchy współpracowników. Słyszał, że pisuję komentarze dla Bena. Jestem skończonym facetem, który jednak zapewnił sobie przyzwoitą posadkę. Klasyka. Wielu tak w końcu ląduje. Co mogło mnie więc wyrwać z ciepłego bagienka Europy? Jakiś kaprys czy ekstratemat? Może coś wiem, może dostałem cynk, że szykuje się coś wielkiego, niesłychanego, przewrót, rewolucja, atak terrorystów, inwazja kosmitów.

Czujne brązowe oczy patrzą uważnie.

– Czytuję twoje opinie, Jack – mówi ostrożnie. – Niezłe są, wnikliwie. Starasz się trzymać rękę na pulsie, co?

Znowu zęby w uśmiechu.

– Jasne – przytakuję. Niech ma chłop trochę emocji na wieczór.

Staffi kiwa głową.

– Dobrze cię znowu widzieć.

No tak. Ta gładka jak kluska formułka nic go przecież nie kosztuje. Nie lubiliśmy się zbytnio, ale też nigdy nie byliśmy wrogami. To jednak wilk z sąsiedniego stada, więc potrząsam znacząco walizką.

– Wybacz, stary. Dopiero przyjechałem. Chcę się zameldować, wziąć prysznic. Już zapomniałem, jaki tu upał. Zobaczymy się wieczorem w barze.

– Na pewno – mówi, a ja wiem, że zaraz ruszy w miasto uruchomić wszystkie kontakty.

Idę w stronę recepcji, nasłuchując pilnie, czy nie usłyszę dzwonienia kostek lodu w drinku, choć wiem przecież, że jej tu nie ma.

Gdyby to był Gouillome albo Albert, nie Staffi, zagadnąłbym go zdawkowo o Marłę.

A tak sunę przez ciemnawy hall wprost ku samotnym klifom recepcji, mając się myśla, że przecież w każdej chwili o panią Bjornsen mogę zapytać tę ciemnoskórą, senną dziewczynę za kontuarem.

Gapię się na szklankę pełną krwi i nie wiem, co myśleć.

Chciałem wynająć samochód, ale zobaczyłem boga.

Przemówił do mnie ze wstecznego lusterka rozpadającego się merca. Nie rozpoznałem go. Nie jestem zbyt dobry w afrykańskich bóstwach. Lecz starszy, gadatliwy Nigeryjczyk, właściciel wypożyczalni, pewnie był, bo zrobił się siny jak popiół i powiedział, że musi zaraz wyjść i zamyka interes.

Dostałem ataku paniki na bazarze.

Poszedłem do domu Marli i rozmawiałem z kotami.

Biłem się i o mało nie zginałem, ale to akurat sprawiło mi przyjemność.

Zostałem przeklęty przez czarownika.

Spotkałem Lornę Danton i udało mi się wyjść z tego cało.

Nieźle, jak na dwa dni pobytu w Lagos.

Siedzę w hotelowym pokoju, a przede mną stygnie szklanka czerwieni. Nie sądziłem, że przyglądanie się krwi może być takie fascynujące. Nawet jeśli to krew pół na pół zmieszana z whisky.

Ta szklanka też chce mi coś powiedzieć, podobnie jak bóg w mercedesie, ale jej głos jest tak cichy i niewyraźny, że nic nie rozumiem.

Na razie wystarcza mi, jak siedzę, czuję żelazisty, ostrawy zapach zmieszany z wonią alkoholu i przypominam sobie słowa *oriszy*.

„To nic nie da”.

Albo: „To niepotrzebne”.

Nie sposób dosłownie zapamiętać słów bóstwa, ponieważ ono ich nie używa. Przemawia bezpośrednio w umyśle, więc jedyne, co udaje się wychwycić, to ogólny sens.

Chciałbym pogadać z Marlą. Mam nadzieję, że koty powiedzą jej o mojej wizycie. Kazałem Mosesowi, boyowi Marli, żeby przekazał ode mnie wiadomość, ale mogę się założyć, że tego nie zrobi.

Cała nadzieja w kotach.

Potrzebuję jej czarów, jej rady. Marla zna się na czarach.

W sumie zna się na wielu rzeczach.

Zawsze to powtarzam.

Kręci mi się trochę w głowie, ale nie jestem chyba pijany. Powinienem poukładać wszystkie wydarzenia, skatalogować, zanalizować dokładnie, żeby dowiedzieć się, dlaczego interesuje się mną *orisza*.

Upiory to mały problem w porównaniu z bogami. Powie wam o tym każdy Joruba.

Do diabła, przyjechałem tutaj rozwiązywać problemy, nie mnożyć. Dlatego jestem naprawdę wkurzony.

I jeszcze jedno, żeby wszystko było jasne.

Nie wierzę w *oriszów*.

Oczywiście wiem, że to głupie tak przyjechać na pałę do Lagos, bez pojęcia, co dalej, za to z głową pełną pączkującego szaleństwa. Jeśli koniecznie chcę przeżyć jakieś pieprzone katharsis, popłakać się, usmarkać ziemię splamioną posoką moich przyjaciół, wybaczyć dzieciakom – żołnierzom, ofiarom takim samym jak my, zabrać ze sobą garść piachu jako relikwię, a potem odlecieć do domu z lekkim sercem i uzdrowioną duszą, powinienem pojechać do Liberii, na miejsce wypadku.

Wypadek. Tak zawsze mówili lekarze.

Wciąż widzę, jak splatają palce i zawieszają na chwilę głos.

Tragiczny wypadek.

Pieprzone brednie.

Wojna. Ani mniej, ani więcej.

Znam się na wojnie, do cholery.

Napatrzyłem się. I wcale nie chodzi o to, że pękła we mnie jakaś tama, wylały się nawarstwione przez lata przeżycia, ujawniła trauma, dalej jazda w stylu świętego podręcznika psychologii.

Coś się jednak stało. I nie uwolnię się, zanim nie zrozumie co.

Gdybym wierzył, że podróż do Liberii pomoże, że znajdę w pyle drogi zasypane, zmumifikowane ucho Jacques'a, zawiozę je triumfalnie do Francji i zagrzebię na cmentarzu w tym całym Roins, a duch mego kolegi powie: „Dzięki, stary”, a potem rozplynie się w wiecznej światłości do wtóru „hosanna!”, to już bym rył pazurami w piachu i chaszczach.

Chociaż to było chyba ucho Femiego, jeśli dobrze pamiętam. A Femi żyje, z tego, co wiem.

Wszystko jedno.

Mnie w każdym razie nie nawiedza.

Zawsze jakiś powód do radości.

No dobra, gdyby chodziło o jakikolwiek inny kawałek Jacques'a. Podobno upiory tak robią. Nachodzą żywych, jeśli ich kości nie są należycie pogrzebane.

Ale mój kumpel, kiedy go widuję, wydaje się kompletny.

A ja czuję, że nie tu leży problem.

„To nic nie da”, powiedział bóg, gdy próbowałem wypożyczyć auto, żeby pojechać do dżungli.

Wie, co mówi.

Tylko straciłbym czas. Nie ma znaczenia, czy potrafiłbym zapuścić się sam w interior, czy na widok piaszczystych dróg i zwartej ściany wypłowiałej zieleni po prostu posikałbym się ze strachu.

Teraz to sprawa jakiegoś *oriszy*.

Dobrze byłoby wiedzieć którego.

Może jeśli wrócę teraz pamięcią do wszystkich wydarzeń, przypomnę sobie krok po kroku, gdzie byłem i co robiłem, tuż po spotkaniu z bogiem, zdołam się czegoś domyślić.

Boję się trochę, nie ma co udawać, że nie. Ale coś czuję, że tak powinienem postąpić.

W porządku. Duży łyk whisky z gwinta i czas cofnąć się po swoich śladach, jakbym zwijał własny cień.

Bazar w Lagos rozlewa się na całą szerokość głównej ulicy, Broad Street. Środkiem prześlizgują się śmierzące, zdezelowane samochody i nieskończona rzesza skuterów, żeby wreszcie odbić się od głównego placu targowego Tinubu Square. Przypomina to ławicę ciągnących na żerowisko ryb wpływających w wyjątkowo brzydką rafę koralową.

Ale za to wściekle barwną i gwarną.

Nie bardzo rozumiem, po co przyszedłem na bazar. Chyba potrzebuję ludzi, tłumu, zapachów, smaków, czegoś konkretnego.

Człowiek czuje się zdumiewająco rozbity, kiedy zobaczy boga. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale *orisza* w jakiś sposób zakrzywia rzeczywistość, zawija ją, żeby stać się widocznym. W każdym razie tak mi się zdaje.

Potem wszystko wokół robi się płaskie i wypaczone. Jakby się patrzyło przez grube dno butelki. Tylko on wypełnia przestrzeń w umyśle i przed oczami. Rozpycha brudne wnętrza auta, choć tak naprawdę jest całkiem gdzie indziej. Wciąż wydaje mi się bardziej realny niż krzykliwe rafy bazaru.

Wystarczy, że przymknę powieki, żeby widzieć jego twarz. Wydłużoną, barwy mahoni, z nawisłą banią czoła, prostym, wąskim wybrzuszeniem nosa i maleńkimi ustami, wykrzywionymi, zębatymi niczym przyssawka tasiemca. Ale te oczy są pustką. Obmalowanymi białą otoczką glinki, migdałowymi, owadzimi dziurami ciemności. Panuje w nich mrok, o jakim myślimy, wyobrażając sobie przestrzeń kosmiczną.

Choć próżno szukać w niej gwiazd.

Patrzy na mnie przez lustro, a im dłużej mi się przygląda, tym więcej znajduję w tym mrocznym kosmosie.

Mieszka tam krzyk. I krew. I strach. I wielka odwaga.

I mnóstwo śmierci, która przepełnia po wręby pustkę migdałowych oczu.

Do diabła, wiem, że wygląda jak afrykańska maska.

Ale to nie jest żadna pieprzona tandetna pamiątka dla turystów.

Żadna obrzędowa rzeźba z mahoniowego drewna.

To istota, która przez wieki była nieudolnie portretowana przez swoich wyznawców.

Nieludzkie bóstwo o czerwonej skórze i kosmicznych tunelach zamiast ślepiów.

Żywy *orisza* we własnej postaci.

„To nie ma sensu”, powtarza, a ja trzęsę się mimo upału. Bóg wciąż jest ze mną, tu, na bazarze, choć dawno odszedł.

Przeciskam się między straganami. Wszędzie na krzywych drewnianych ławach leżą sterty owoców, jak podczas święta plonów w jakimś szalonym raju. Rozkrojone papaje objawiają światu czarne, szkliste paciorki pestek, na prowizorycznych ladach rozpychają się melony, mango, banany i żółte słoneczka cytryn. Ananasy wystawiają ze skrzynek kosmate łby, obok leżą jasne bulwy manioku i ich ciemnoskórzy bracia, bulwy ignamu.

W blaszanych misach, jak gemmy u jubilera, połyskują kolorowo suszone nasiona soczewicy, grochu, kukurydzy i łaciatej, wielkiej jak pół kciuka fasoli.

Kury wepchnięte do małych drewnianych klatek wrzeszczą i trzepoczą skrzydłami, kozy i barany szarpią się na sznurkach w bezsensownym odruchu buntu.

Ochłapy na stoisku z mięsem jeszcze krwawią, gorące krople skapują wprost na ziemię albo do niedbale podstawionych plastikowych misek. Świeże ryby gapią się martwym okiem w błękit nieba, jakby spodziewały się, że to ocean. Obok ich zмумifikowane, suszone towarzyszki zalatują już nieprzyjemnym fetorkiem rozkładu.

Na płachtach rozłożonych na bruku leżą maczety, lampy naftowe, zardzewiałe części samochodowe, kapelusze, bele tkanin, plastikowe wiadra i miski, garnki, rowery rozczłonkowane na ramy, koła i kierownice, ryczące wielkim głosem, ochryple ze zmęczenia tranzystorowe radia i odtwarzacze. Wszystko to przypomina wielką wyprzedaż z Arki Noego.

Nad rozległą płaszczyzną tego chaosu starają się zapanować handlarki, okutane kolorowymi jak flagi małych państw *wrapperami mummies*, z uszatyimi zawojami *gele* na głowach.

Tutaj handlem zajmują się tylko kobiety.

Mężczyźni ograniczają się do niesłychanie długich, wylewnych ceremonii powitań i pozdrowień spotykanych na targu znajomych.

Niektórzy ucinają sobie drzemkę w cieniu skrzynek z owocami.

Trędowaci, beznodzy żebracy zręcznie wymijają stragany, turlając się na skleconych byle jak wózekkach, przypominających paleolityczne deskorolki. Wydają się żałośnie za krótkcy, jakby byli karcianymi figurami z talii podartej ręką jakiegoś porywczego *oriszy*.

Jasnoskórzy Fulanie ciągną za sobą cienie swoich zakwefionych, milczących kobiet.

Mummies ocierają pot z czoła dłońmi złotymi od pierścieni i bransolet, lepkiimi od brudu. Wszystko, co masz, lepiej cały czas noś przy sobie. Dla splendoru, ale i na wszelki wypadek.

Niektóre odchodzą na stronę, przykucają otoczone parawanem szerokiej spódnicy.

Kibel to tutaj nieznaný luksus.

Targ w Lagos to obca planeta pełna dziwaczných przejawów życia.

I bez przerwy ktoś tu coś pichci.

W garnkach bulgocze czerwony sos chilli, pęcnieje ryż, gotuje się maniok.

Przez duszne, przepocone powietrze płynie swąd spalenizny.

Tam dalej przyrządzają *bushmeat*, dzikie mięso, żarcie z buszu.

Na prowizorycznych rusztach w absurdalnych pozach, z powyciąganymi łapami, szczerząc upiornie zęby, skwierczą afrykańskie zwierzęta. Długonogie zające, mrówniki, szczury i małpy.

I Bóg wie co jeszcze.

Pewnie rzadkie, wymierające gatunki.

Wszystko, co uda się złapać.

Mięso, odrobina białka. Jedzenie. Bezcenna rzecz.

Raj dla biologa i piekło ekologów.

Tylko ten cholerny swąd przypalenizny.

Paskudnie znajomy, obawiam się.

Niedobry, mówi mi coś w duchu. Nienaturalnie intensywny.

Za bardzo z dziedziny *ifa*.

W żołądku czuję gwałtowny ucisk, robi się pełen zimnej, gęstej cieczy, jakbym napił się rtęci.

– Gu! – odzywa się nagle *orisza*. – Bądź uważny!

Staram się, bracie.

Ale świat znowu zakręcił, spłaszczył się, wypaczył.

Poczerniała, zaciśnięta w piąstkę łapka otwiera palce, łapie mnie za koszulę. Na wpół zwęglony pyszczek rozciąga się w uśmiechu.

– Gu! – woła radośnie pieczona małpka. – Gu!

Odskakuję gwałtownie, w ustach mam gorycz żółci, a rtęć z głębin żołądka zaraz wymówi lokal i wyfrunie na zewnątrz.

Zamknij się, pieczeń! Ciebie nie ma! To tylko cholerny udar!

Ktoś mnie potraça, chyba jakiś wyrostek. Obok przeciska się gruba handlarka w kolorowym *wrapperze* i turbanie na włosach. Zawiązane w supeł rogi chusty sterczą po bokach głowy niczym uszy sowy.

Sowa jest córką piekarza.

Sowa jest przyjaciółką czarownicy w religii *ifa*.

Siostrą złego znaku.

„Strzeż się”, poradziłby w takiej sytuacji zaprzyjaźniony *ibo*.

Robi mi się sucho w ustach. Z trudem przelykam gęstą, lepłą ślinę. Przemykam powieki.

Próbuję się strzec. Usilnie próbuję, ale chyba nic z tego.

Bazar wrze, kręci się, unosi w górę, w stronę białego od żaru nieba. Wiruje upiorną karuzelą wrzasku, śmiechu, smrodu, ścisku, życia.

Leżę niezdarnie naprzód, przepychając się wśród skleconych z desek straganów, depczę rozłożone na ziemi płachty zastawione stosami tandety.

Pocę się tłustym, gęstym strachem.

Niedobrze mi.

Zaraz się zrzygam.

Migają przede mną czarne twarze, błyskające zębami i białkami oczu.

Mądry człowiek powiedziałby, że zapomniałem kapelusza i teraz biały bokser upał wali mnie pięściami po czaszce, żeby zbić z nóg.

Ale nie ma tu żadnego mądrego człowieka.

– Knock-out techniczny w pierwszej rundzie! – woła gdzieś z oddali Marla.

Kostki lodu w jej drinku dzwonią nieznośnie, uporczywie jak kastaniety.

Boję się.

Jestem galaretą strachu.

Na plecach czuję oddech starożytnego boga. Ściga mnie. Nie mogę się odwrócić, bo jego oczy to śmierć.

Dygoczę teraz gorzej niż w najgłębszym ataku malarii. Telepie mną jak tanim czarterem w turbulencjach.

Proszę się nie denerwować. Proszę nie opuszczać miejsc i zapiąć pasy. Po zapaleniu czerwonego światła mogą się już państwo jednać z wiecznością.

Matko Boska, co się ze mną dzieje?

Zaczynam biec. To raczej ciężki trucht wozackiego konia niż elegancki sprint, a serce i tak zaczyna się dławić. Oblewają mnie fale lodowatego oceanu, chociaż prawie umieram z gorąca.

Wbijam się w tłum, kolorowe kokony *wrapperów* rozstępują się przede mną usłużnie, ale ja nagle zdaję sobie sprawę, że ludzie mnie nie widzą.

Stałem się pustką, podmuchem upału, przestrzenią wypełnioną, zagiętą przez *oriszę*.

Nie ma wątpliwości.

Zostałem opętany.

Parle ou, mon cheval, jak powiadają na Karaibach.

„Mów, mój koniu!” – krzyczałby po kreolsku *loa voodoo*, gdyby mnie teraz dosiadał.

Ale to nie ja stałem się nagle głosem boga.

To on przemawia do mnie.

– Patrz! – mówi każdym dźwiękiem, gwarem całego bazaru.

Świat zwalnia. Kroczę pośród tłumu jak jakiś pieprzony król, depcząc stosy plastikowych naczyń wystawionych na sprzedaż, przewracając kociołki z pichcącym się czerwonym sosem *garri*, bezkarnie rozrzucając owoce i rozwijając bele perkalu, a widmowy olbrzym wypełnia mnie jak rosnące ciasto brytfannę.

I zupełnie nikt nas nie widzi.

Ale tam, gdzie przechodzimy, wszczyna się walka.

Chłonę każdy jej przejaw sercem bardziej głodnym niż wszystkie dzieci Etiopii.

To moja radość, moje życie, moja siła.

Widzę, jak tłuste muchy zrywają się znad polci psującego się w upale mięsa, rzucają na siebie niczym zwariowane bombowce w skłębionej, bezsensownej powietrznej wojnie.

Patrzę, jak przemykające w pyle i kurzu psy niespodziewanie skaczą sobie do gardeł. Warkot, piski, obnażone kły, kotłowanina.

Przyglądam się dwóm przekupkom, których kłótnia przeradza się w bijatykę na pazury i pięści.

Nagle wrzask. Straganiarka wpija się palcami w ramię chudego wyrostka.

– Złodziej!

To natychmiastowy wyrok bazarowego sądu. Ludzie, którzy nie mają prawie nic, nie mogą tolerować kradzieży.

Mieć kilka owoców na sprzedaż lub wymianę znaczy przeżyć. Jeśli człowiek posiada jakiś przedmiot, garnek, maczetę, białą koszulę, prędzej znajdzie pracę. Kobieta ugotuje i zanieśie na targ ryż i *garri*, wstrętą, czerwoną, ostrą jak diabli papkę z manioku. Mężczyzna najmie się przy wycince trzciny. Posiadacz koszuli zostanie gdzieś cieciami albo służącym.

Same ręce do pracy to za mało.

Nie tutaj, moi drodzy. Tu trzeba być dumnym posiadaczem najlichszej bodaj rzeczy.

Dlatego nie ma litości dla złodzieja.

Już leży na ziemi, jęcząc i osłaniając pokrzwawionymi rękami twarz, a na jego skręcone chude ciało spadają kopniaki.

Zaciekle, złe, gniewne.

Tłum wrzeszczy wesoło, sprawiedliwość dziejowa się toczy, wściekłość rośnie.

Z ust chłopaka sypią się zęby, białe i czerwone, jak ziarna łaciatej fasoli.

Na ustach pękają krwiste bańki.

Plum!

Świszczą kije od szczotek, trzonki młotków i kilofów.

Ta zabawa nazywa się masakra i coraz fajniej się rozkręca.

To już nie złodziej, ale czarny worek.

Pełen zła, które trzeba wytłuc.

Które tak przyjemnie jest wytłuc.

Co za jazda, wreszcie się na kimś odegrać.

Złodziej!

Złodziej!

Zło...

Gapię się na krew i rosnę.

To znaczy rośnie ukryty we mnie *orisa*.

Jest gigantyczny jak niebo, jak osiemnastokołowa ciężarówka, jak slumsy Lagos.

Toczy się przez moją głowę, sycąc krwią.

Wypełnia portową dzielnicę Apapa, Ebute-Meta, Mushin, płynie przez Yaba i Surulere, ze wszystkimi ich nocnymi barami, szulerniami i spelunami.

To przez niego ten burdel, ta zabawa, ta masakra.

Pije siłę miasta, smutek tropików, wściekłość nędzy.

A ja jestem wiernym rumakiem, którego dosiada.

Parle ou, mon cheval!

Krzycz całym gardłem, mój koniu!

Uniesienie rozpycha mi serce, przeciska się do mózgu, zalewa.

Orgazm krwi, jak rany! Ekstaza starożytnego boga.

Patrzę na drgający worek zła i podoba mi się to, co widzę.

Czerwona maź płynie strużkami, jestem tak blisko, że zaraz przypadnie do moich butów, butów władcy i stwórcy.

Bo to ja, choć niewidzialny, steruję tłumem.

Jeśli natychmiast stąd nie odejdę, chłopak zginie.

On to wie. Próbuje wyciągnąć do mnie dłonie, chwycić za kostki. Jęczy rozpaczliwie, białuszy przekrwione, udęczone oczy.

Widzi mnie.

Cholera, jest już na skraju drugiej strony, więc może mnie zobaczyć.

Witam na stopniach tęczowego mostu.

Wstępujesz na dwór Karmazynowego Króla, bracie.

Krew jest na czarnych, powykręcanych palcach, które spazmatycznymi skurczami błagają mnie o litość. Prawie, prawie sięgają czubków moich porządnych europejskich zamszaków.

Kiedy podszedłem tak blisko? – zastanawiam się mgliście.

Nikły zapach śmierci już się unosi w powietrzu.

Chyba się trochę uśmiecham.

Fajnie być katalizatorem, przełącznikiem życia i pustki.

Cyk, cyk.

Tak albo tak.

Mały pstryczek elektryczek.

Pełen potężnej mocy stukniętego *oriszy*.

Jeżeli zostaną choć chwilę, pyk, przełącznik przeskoczy.

Czuję, jak bardzo powietrze jest naładowane śmiercią.

Kiedy jesteś padlinożercą żywiącym się wojną, szybko zaczynasz wyczuwać takie rzeczy.

Napięcie w powietrzu.

Moment, gdy tłum ogarnia histeria zabijania.

Niewiele brakuje i cały bazar zabuzuje, rzuci się sobie do gardeł. Nagle okaże się, kto swój, a kto wróg. Ważne staną się takie drobiazgi, jak plemię, ród, wyznanie, pochodzenie, urodzenie, majątek. Nagle zacznie się czas krwi.

Tu i teraz, od tego masakrowanego chłopaka, który miał niefart ukraść trefną wiązkę bananów, rozpęta się kolejna potężna afrykańska wojna. Wojna pierwotna, bezwzględna, absolutnie wypruta z zasad.

Nadchodzi, a ja jestem jej nośnikiem.

Jej zarzewiem.

Jacek Wilczyński, hiena żerująca na ludzkiej tragedii, pies wojny, chwilowo miejsce zamieszkania boga, który chce mord.

Wystarczy, że postoję, popatrzę.

Naprawdę, wierzcie mi, to wystarczy.

– Siła! – krzyczy *orisza*, a ja czuję jej odwieczne, potężne pulsowanie.

Afryka chce śmierci.

Afryka chce wojny.

Pragnie każdym oddechem ludzkich płuc.

Rodzi pokolenia wojowników i przyciąga takie szumowiny jak ja.

Istoty, które nie mieszczą się we własnym kraju, kulturze, kontynencie.

Padlinożerców.

Narzędzia bogów.

Jeszcze sekunda i otworzyłbym drogę wojnie, gdyby nie najbrzydszy anioł, jakiego zdarzyło mi się widzieć.

Nie zauważyłem, jak wylazi spod wielkiej plastikowej płachty osłaniającej stragan z gadżetami dla *babalawo* i innych czarowników, rozsuwając suszone małpie ręce, czaszki krokodyli, węzowe skórki i sznury rekinich zębów wywieszane na zewnątrz kramu na znak promocji.

Wielki, czarny jak telefon, w rozwianym wściekle kolorowym chałacie, gestykulujący zaciekle uschłymi gałęziami rąk. Pieprznięty fetysz, chudy niczym antena nakierowana bezpośrednio na fale nadawania Stwórcy. Stary dziad obdarzony magiczną mocą.

Ojciec Tajemnica, jak ich tu nazywają.

Mówi teraz do tłumu, ale tak naprawdę rozprawia się z moim *oriszą*.

Głos ma skrzekliwy, nienaturalnie wysoki. Gapi się na mnie z wyrazem twarzy surowego taty, który przyłapał nastoletniego syna nad rozkładówką „Hustlera”.

Pomarszczoną podłużną gębę przecinają rytualne blizny. Jedno brązowe oko ucieka mu niesfornie do góry, drugie, pokryte bielmem, przypomina ugotowane jajo.

Dłonie podrygują nerwowo, na cienkich nadgarstkach kołyszą się bransolety z czarnej skóry, ochronne *juju*.

Krzyczy na mnie, wyciągając sękaty palec.

Nie rozumiem ani pieprzonego słowa, lecz ukryty we mnie *orisza* wzdraga się ze złości i obrzydzenia. Widać gniewne zaklęcia są celne, bo ludzie zamierają, opuszczają kije, odsuwają się od zmasakrowanego ciała złodzieja.

Zdumiewające, ale chłopak chyba jeszcze żyje.

Ja i mój bóg czujemy się tym jakoś osobiście dotknięci.

A dziad opatrnościowy ciągle wykrzykuje, wskazując mnie palcem.

– Gu! – woła oskarżycielsko, kręcąc z dezaprobatą głową. – Gu!

I coś jakby kaszlnięcie astmatyka.

Tłum mamrocze niemrawo w odpowiedzi, zaczyna się pokornie rozchodzić.

Tymczasem boży wojownik przysuwa się do mnie, szurając po starczemu nogami obutymi w pozszywane drutem sandały. Spomiędzy popękanych, zniszczonych pasków skóry wyłażą brudne paluchy, podobne do ciekawskich czarnych gąsienic.

– Biały *oibo* – odzywa się rozpaczliwym, połamanym niczym stół angielskim. – Ty niewolnik Gu! Trzeba bardzo pomocy! Źle tak widzę ja to. On odejdzie teraz, ale nie może na długo ja jego zatrzymić. Bardzo stary, bardzo zły, bardzo popsuty *olosi, orisza* on zrobił się. Ty wielce się strzec potrzebujesz. Tobie ogromny, wielki, mądrzejszy *babalawo* trzeba, musisz znaleźć szybko! Ja mam za mało sił. Ale teraz ja wygnam tego. On zostawi cię. Musisz pomocy potrzeba! Szybko. Inaczej straszna rzeczy się wydzieją! Straszna rzeczy! Krew dużo i duchy wrócą! Duchy chcą śmierć! Przeklinam teraz ja cif, Gu! Idź ty daleko! Idź do martwej krainy!

Sięga w odmetry barwnego chałatu i wyciąga garść czerwonego proszku. Pstryka palcami, mlaska, mruczy coś pod nosem i sypie dokoła rdzawym pyłem.

Patrzy mi prosto w twarz i nagle widzę, jak jego ciemne oko wywraca się, otwiera niczym dziura w głąb czaszki. Tunel nie ma dna, wiedzie wprost w ciemność, poza śmierć, poza zaświat, do jakiejś cholernej prywatnej piwnicy Pana Boga. W tej samej chwili drugie, białe oko zaczyna się jarzyć nieziemskim, srebrnym światłem. Przypomina wielki reflektor szperacz. Prześwietla mnie na wylot, czesze niczym skaner, pieprzony magiczny tomograf. Znajduje w środku Jacques'a, Fabienne, Marłę i wszystkich innych, znajduje mnie, zdumionego i skonfundowanego, w środku własnej głowy, pełnego własnych myśli, a potem wciska się głębiej, tam gdzie przyczał się *orisza*.

Trzask.

Dzień dobry panu. Proszę opuścić lokal, który zajmuje pan nielegalnie. Proszę oddać panu Wilczyńskiemu jego ciało, umysł i zdrowe zmysły. To nie są ćwiczenia.

Rozumiemy się?

Orisza rozumie.

Łeb mi pęka od jego wściekłego wrzasku.

Jakby cały świat krzyczał.

Jakby szalał z gniewu.

A potem robi się cicho.

Gaśnie srebrny skaner, zamyka się tunel do wieczności.

Stoję zupełnie sam przy stoisku z bananami, mokry od potu, słabszy niż ogolony Samson, oszołomiony, z potwornym bólem głowy.

Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Skatowany złodziej, jęcząc, próbuje się odczołgać gdzieś w cień.

A święty mąż, który właśnie pokonał złego ducha, znika za plastikową płachtą swojego straganu z magią.

No, nie bardzo potrafię się pozbierać.

Siedzę w pobliskim barze, baraku skleconym z blachy falistej, i popijam kolejne mętne jak moje wspomnienia palmowe piwo. Łykam drugi ibuprofen, bo ból nie ma zamiaru tak łatwo opuścić mojej czaszki. Wentylator z wysiłkiem miesi gęste od gorąca powietrze, perkalowa zasłonka w drzwiach nawet nie drgnie trącona przelotnym podmuchem, smętnie opada w dół. Stary tranzystor ryczy wesołą piosenkę, a tłusta *madame*, rozległa jak sama Jemonya, Matka Ocean, bogini płodności religii *ifa*, kiwa się sennie za kontuarem.

Kilku miejscowych rozmawia cicho, pochylonych nad stolikiem. Kędzierzawe głowy niemal się stykają. Widać sprawa jest poważna.

Znów nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Jestem tu, a jednocześnie nie jestem nigdzie.

Afryka to kolebka ludzkości.

Ale wcale nie czuję, jakbym wrócił do dzieciennego pokoju Matki Przyrody. Tej z ulotki zatkniętej za fotel w samolocie, pamiętacie?

Czasu nie da się cofnąć. To nie jest już moje Lagos, choć pozornie nic się nie zmieniło.

Oprócz mnie.

Teraz stałem się pieprzonym świrem. To bolesne, ale prawdziwe.

Tak zwany wypadek poprzestawiał mi w głowie. Na zawsze. Jak wywar z halucynogennych grzybków. Wystarczy raz, a potem nic już nie da się zrobić.

Spędziłem w Afryce lata, uczestniczyłem w setkach magicznych i tajemnych ceremonii, ale nigdy, nigdy nie zostałem choćby omieciony mistyczną mocą. Nie opętało mnie żadne bóstwo, nie przemówiło moimi ustami, nie wyleczono mnie czarami ze śmiertelnej choroby, lub choćby grzybicy stóp, nie zobaczyłem niczego niezwykłego, nie doświadczyłem dreszczu niesamowitości.

Widziałem tylko trupy i ludzi konających z głodu lub zarazy.

Mędrca szkiełko i oko.

Obiektyw kamery, ekran komputera albo zwykły notatnik czasem, żeby opisać to, co się dzieje. Dziury po kulach, poharatane resztki, jakie zostawia granat, RPG, bomba czy co tam chcecie i nieśmiertelnie zabójcza płonąca benzyna.

Słowem, ciszej, mówcy, teraz przemawia towarzysz mauzer.

Sorry, tu raczej kałasznikow albo towarzyszka mina przeciwpiechotna.

Dlaczego ja musiałem oparszywieć? – woła retorycznie Hiob. Dlaczego zwariowałem w jakiś niepojęty, mistyczny sposób?

Cholera wie, rozkłada ręce Nieboskłon.

Dziwny staruch powiedział, że wyrzuca ze mnie złego *oriszę*. Jak go nazywał? Ge? Gu? Marla pewnie by wiedziała. Do diabła, dlaczego nie ma tu Marli Bjornsen? Bez niej po prostu tracę czas.

Kazał mi znaleźć potężniejszego czarownika. Mocarza, który usunie szaleństwo z mojej głowy. Szybko, bo potem stanie się coś strasznego.

Zwariowałem. Wydaje mi się, że wkracza we mnie jakieś zapomniane, pieprzone bóstwo. Widuję swego upieczonego, martwego kumpla i całą bandę innych duchów.

Co, do cholery, jeszcze może się zdarzyć strasznego?

Kolejny kufel tego paskudnego, ciągnącego zaskrońcem piwa z jakiejś pieprzonej palmy?

Powinienem wrócić do hotelu, spakować graty i zarezerwować najbliższy lot do Francji.

Powinienem być rozsądny, zadzwonić do Fabienne, przeprosić, zainteresować się sprawami brata prawnika z małżonką albo wiekowej cioci Angele.

Powinienem skontaktować się z Benem.

Poszukać kolejnego, tym razem naprawdę dobrego terapeuty.

Przestać świrować.

A zamiast tego wychodzę z baru i rozglądam się za taksówką, żeby pojechać do dzielnicy Ikoyi, „białej”, jak się tu powiada. Z pięknymi willami otoczonymi rozległymi, zadbanymi ogrodami. Z wymiecionymi chodnikami, wysokimi płotami, przez które leją się strugi bugenwilli, z pawilonami, które nazywa się bungalowami, oraz oddzielnymi pomieszczeniami dla służby.

Myślicie, że znudziła mi się brudna kolorowość bazaru? Że chcę się przespacerować po tej prawie Anglii, omalże Francji, żeby mieć pewność, że nie spotkam kolejnego pieprznietego świętego dziadygi? A może ot tak, dla kontrastu, mam ochotę popatrzeć, jak bogato i dostatnio żyją sobie światli i ucywilizowani przedstawiciele nigeryjskiego narodu?

Chyba się mylicie, przyjaciele.

Nic z tych rzeczy.

W dzielnicy Ikoyi mieszkają właściwie sami Europejczycy i Amerykanie na placówkach.

Oraz Marla Bjornsen.

Okrągłolicy, zafrasowany Moses, boy Marli, patrzy na mnie z wyrazem smutku w głębokich brązowych oczach. Nie mógłby chyba być bardziej przejęty i przygnębiony, gdyby oznajmiał mi właśnie, że wymarła ze szczętem cała moja rodzina.

– Przykro mi, proszę pana – powtarza po raz szósty. – Pani Bjornsen wyjechała.

– To już wiem. Ale kiedy wróci?

Moses ślania się z rozpaczy, spuszcza wzrok.

– Nie wiem, panie Jack. Nie powiedziała dokładnie.

Nie potrafi wymówić mojego nazwiska, więc od lat tytułuje mnie tym idiotycznym „panem Jackiem”. Uśmiecham się i staram nie wściec za bardzo.

– A niedokładnie? Za dwa dni? Za tydzień? Rok? Kiedy wypalą się gwiazdy?

House boy wzdycha z głębi udreżonego serca.

– Ach, panie Jack! Mówiłem, że nie wiem. Pani wyjechała.

Dobra. Wyjechała. Świetnie. Jaki miły zbieg okoliczności.

Marla nigdy nie opuszcza Lagos. Odkąd ją poznałem, nie ruszyła dupy z tego pieprzonego miasta.

– Jack, dość się napodróżowałam, wiesz? Zresztą nie znoszę hoteli. Zawsze czegoś tam zapominam. W którymś w końcu zapomnę sama siebie. Nie śmieję się. Przysięgam, że tak będzie. Do domu wróci tylko moja pusta kiecka unosząca się nad drepczącymi pantoflami.

A teraz akurat gdzieś ją wyniosło.

Chyba że Moses kłamie, a ona po prostu nie chce mnie widzieć.

Przepadłem na trzy lata, a teraz wracam w glorii chwały, jak Rambo w kolejnej części.

Pewnie się obraziła.

Tylko że do niej wcale nie pasują takie fochy. Wyszłaby na ganek, groźna niczym armia Zulu Chaki, i zrobiła mi z zadka jesień średniowiecza.

– W porządku – mówię w miarę spokojnie. – Wiesz może, dokąd wyjechała? Do znajomych? Do Europy? Na Księżyc?

Chodząca Udreka Moses przewraca tylko oczami.

– Nie mam pojęcia, panie Jack! Nic nie mówiła!

Rany.

Milcząca Marla, z pustymi źrenicami utkwionymi w horyzont, nagle opuszcza willę i niczym Hatifnat ciągnie w stronę Wielkiej Przestrzeni.

Mniej więcej tak musiałoby to wyglądać.

Bardzo prawdopodobne.

Tymczasem między nogami house boya prześlizguje się wielka jak tygrys srebrzysta kocica Marli. Podnosi łebek, mruży przepięknie okrutne zielone oczy i uprzejmie powiada „mmru?”.

Marla ma w domu trzy koty. Dwa norweskie leśne i jednego maincoona. Nie wiem, w jaki sposób utrzymuje je w tak dobrej kondycji w Afryce, bo obie rasy pochodzą z Północy i mają gęste, grube futro godne niedźwiedzi polarnych.

– Po prostu miłość – mówi Marla.

– Czary – szepczą po kątach miejscowi służący.

Koty, tak jak sowy i nietoperze, są nieodłącznymi towarzyszami czarownic. Oczywiście Marla uchodzi za wiedźmę nie tylko z powodu kotów. Ona to ma po prostu w oczach.

– Cześć, Val – mówię na powitanie. – Może ty mi pomożesz, co? Gdzie się podziewa twoja pani?

Valkiria wygina wdzięcznie grzbiet i pozwala się pogłaskać.

Twarz Mosesa pokrywa się siną bladością.

Wierzy, że kocica wszystko powtórzy Marli. Boi się jej i pozostałych zwierzków bardziej niż samego króla zła, Omaliko.

– Ach, panie Jack! – jęczy. – Ja naprawdę nic nie wiem!

– Miau!

Przez drzwi przepycha się bury Olaf, wielki jak przerażenie Mosesa.

– A Harald? – pytam ze zdziwieniem. – Nie przyjdzie się przywitać?

– Prrr! – parska pogardliwie kocur.

– Aha, śpi. – Kiwam ze zrozumieniem głową. – No dobra. Pozdrówcie go ode mnie.

Skóra boya przybiera kolor popiołu.

– Mam prośbę. – Przykucam na podjeździe, żeby pogłaskać też podstawiony łeb Olafa. – Powiedzcie Marli, że wróciłem do Lagos. Zrobicie to dla mnie, co? Po starej znajomości.

– Mrrrau! – zgadza się Valkiria.

Moses z trudem przełyka ślinę.

– Ja też przekażę wszystko, co trzeba, panie Jack. Kiedy tylko pani Bjornsen przyjedzie do domu.

Uśmiecham się.

– Dzięki, Moses. Zatrzymałem się jak zwykle w hotelu „Meridien”. Do widzenia.

Odwracam się w stronę kotów. Valkiria w skupieniu wylizuje łapkę, a Olaf układa się w plamie cienia na ganku.

– Na razie! – Macham im ręką. – Pewnie niedługo znów się zobaczymy. Cieszę się, że macie się dobrze. Ucałujcie ode mnie Marłę.

Olaf odprowadza mnie uważnym spojrzeniem żółtych oczu, a Moses szybko cofa się w głąb domu.

Białej piętrowej willi, rozległej jak fortepian Pleyela, pustej teraz i całkowicie pozbawionej obecności pani Bjornsen.

Diabli wiedzą dlaczego zaniósł mnie do Agege. Dobra, bardzo nie chciałem wracać do starego „Meridien”, bezludnego jak porzucona wyspa Robinsona. Ale czemu akurat Agege? Zapyziała, paskudna, nieciekawa dzielnica biedoty. Jeszcze nie tekturowo-błaszano-foliowy Pere-Lachaise slumsów, ale już pocziwa lagoska nędza. Prawdziwa twarz afrykańskiej metropolii.

Wyboiste, pozbawione asfaltu ulice kręcą się jakoś tak bez sensu, bez pomysłu. Po obu stronach drogi głębokie rowy ściekowe wypełnione brunatną, cuchnącą mazią niczym średniowieczne fosy bronią dostępu do prostokątnych, krytych falistą blachą chałup. Na

pyliste, czerwone klepiska podwórek można się dostać tylko po kładkach z surowych desek rzuconych niedbale nad otchłanią kloaki. Chaty mają ściany wylepione z gliny, tylko te nowsze, zasobniejsze dumnie prężą mury z surowych, nieotynkowanych pustaków.

W rudą, suchą ziemię desperacko wczepiają się korzeniami postrzępione, poszarzałe od kurzu palmy albo kępy niechłujnych bananowców.

Pomiędzy domami kręcą się nagie dzieciaki, brudniejsze, niż dopuszcza „National Geographic”, poganiając patykami równie utyłane świnię.

Przed chałupami palą się dymiące ogniska, a okutane we *wrappery* kobiety gotują na kolację nieśmiertelną papkę z manioku, *garri*.

Kosmate, długorogie kozy przemykają gdzieś na granicy wzroku, jak podejrzani fauni.

I każdy drobny szczegół zdaje się wołać: „Spadaj stąd, *oibo*, to nie miejsce dla białego, frajerze!”.

Tylko że ja jestem niewidzialny.

Porzucony wierzchowiec Gu.

Niedoszłe zarzewie wojny plemiennej.

Snuję się krzywymi uliczkami niczym widmo zarazy. Tak samo użyteczny i mile widziany.

Gdybym zdecydował się pojechać do słynnych z nocnego życia dzielnic Surulere albo Yaba, mógłbym się przynajmniej upić. Niewiele, ale zawsze coś.

Tymczasem kręcę się po Agege, jakbym był zagubionym zwierzęciem, które zatacza coraz szersze kręgi w rozpaczliwej nadziei, że znajdzie swojego pana.

Tak się właśnie czuję.

Zagubiony zwierzak.

W wielkim, nieprzyjaznym mieście, na kontynencie ludzi czarnych jak hebanowe drewno.

Paskudnie jasnoskóry, jakbym cierpiał na liszaj biały lub inną odrażającą chorobę.

Dla Jorubów śmierć jest biała jak wapno.

Czarna skóra chorego czy umierającego człowieka robi się szara, popielata. Nienaturalna.

Oibo w Agege też jest nienaturalny.

Tylko znacznie mniej powszedni niż śmierć.

Za to te dwie przykre anomalie się przyciągają. Zwłaszcza kiedy robi się ciemno. A właśnie zapada zmierzch.

Nagle, bez ostrzeżenia, jakby Bóg wyłączył światło w dzieciennym pokoju. Pora spać, moje ukochane owieczki. Teraz ulica należy do stworów nocy. Do mrocznych *oriszów* i szumowin, które wylazły spod wilgotnych kamieni.

Czerwone słońeczko przetacza się daleko na zachód, wszystko przybiera pontyfikalnie fioletowy kolor, jakby na znak żałoby po kolejnym smutnym, przesranym dniu nad Agege.

A od głębokich cieni między budynkami odklejają się synowie zmierzchu. *Borna boys*. Kolesie, którzy nie mają nic do stracenia, a do zyskania parę nair lub dolców, skrojonych bogatszemu od nich skurwysynowi. A każdy jest bogatszy od faceta niemającego nawet koszuli na grzbiecie.

Koleżkowie wilcy, bracia hieny oblażą mnie wokoło, starą taktyką drapieżców. Szczęrzą zęby w parodii uśmiechu. Oddaj, co masz, a może zostawimy cię w spokoju, kłamią ich wykrzywione usta. Ale oczy mówią co innego.

Oj, zdaje się, że masz kłopoty, chłopie.

Oni chcą mi wklepać. Czekali na taką okazję miesiące, może lata. Samotny *oibo* w samym sercu Agege. Biały, bogacz, krzywdziciel, symbol wszystkiego, co złe i niesprawiedliwe, okrutny kolonista, właściciel niewolników. Cichutki i wystraszony jak szczeniaczek, co się zgubił suce. Poza swoimi kolczastymi płotami znieawidzonej bajkowej, niemożliwie zamożnej dzielnicy Ikoyi, łatwy do wyjęcia, do odegrania się, do odpłaty.

Jest ich pięciu, więc chyba powinienem się bać.

Cholera, bałbym się, nawet gdyby opadło mnie dwóch czy trzech. Z jednym wygłodniałym wilkiem mógłbym sobie jakoś poradzić. A przynajmniej przez chwilę myśleć, że sobie poradzę. Ale pięciu to koniec. W sam raz dla Stevena Seagala albo raczej Jackie Chana.

Tylko że to nie tandetny film akcji.

Dobra, panie Wilczyński, teraz wystąpi pan w superprodukcji klasy CE.

Scena pierwsza. Jak wziąć pod fleki byłego korespondenta wojennego, któremu zachciało się znów łyknąć adrenaliny?

Aż się zadławił.

Krwią i smarkami z rozwalonego nosa.

Akcja, przyjaciele, bo chyba wszyscy gotowi.

Boję się. Mam kamienne słupy zamiast nóg i kretyński uśmiech na twarzy.

Jestem martwym idiotą, który przez pomyłkę losu jeszcze nie leży na ziemi z połamanym kręgosłupem i głową przypominającą rozdeptanego melona.

Jestem dyszącym strachem kawałkiem mięsa.

Jestem *oibo*, nikim ważnym, nikim szczególnym, i wszyscy tu mają w dupie moje opiniotwórcze felietony w szmatławcu Bena.

W tej chwili jestem wart tyle, ile mam w kieszeni. Parę dolców, parę nair. Jezu, nawet nie pamiętam kwoty. Zaraz mnie zabiją, a ja nie wiem nawet, ile kosztowałem.

Tanio. Taniutko. Znacznie za mało.

Jeszcze się kolebię na granitowych podporach nóg, jeszcze istnieję, choć to bardzo ulotne uczucie.

Ale zaraz naprawimy ten mały błąd. Jedna chwilunia, frajerze.

Tak mówią do mnie oczy moich oprawców. W uniwersalnym języku, zrozumiałym natychmiast przez cudzoziemców z całego świata.

Pstryk, pstryk.

Światło, niebyt.

Mały pstryczek elektryczek. Teraz oni trzymają na nim łapę. Mogą mnie wyłączyć, jeśli tylko chcą.

A chcą.

To cholernie przesądzone.

Stoję pośrodku kręgu drapieźników i jestem nagle zupełnie pewien, że kocham moje francuskie życie. Nie ma żadnego, żadnego pieprzonego powodu, dla którego opuściłem swoją piękną Fabienne, żeby przyjechać do tej zapyziałej dziury.

Lyon to najładniejsze miasto na świecie.

Uwielbiam *barbecue* i ciastka rozmoczone w herbacie.

Kocham z całego serca Bena i jego gazetę.

Co mi tam, kocham nawet ciocię Angele i prawnika Paula z małżonką.

Matko, jak ja ich kocham. Tak ewangelicznie, głęboko, jak potrafią tylko święci i aniołowie. Oddałbym zaraz obie nerki i kawał wątroby, żeby ujrzeć ich szlachetne oblicza na tarasie w ogródku Fabienne. Zeżarłbym wszystkie łykowate, surowawe steki i każdą ilość sałaty z winegretem. Popłakałbym się z tej miłości najrzewniejszymi łzami, słuchając wieści z kancelarii Paula albo monotonnej litanii chorób wieku dziecięcego wykonanej przez szanowną małżonkę Jak Jej Tam.

Siłą woli staram się znów być z nimi, ale, niestety, wokół mnie wciąż mrocznieją kanciaste bryły chałup Agege.

No więc tak właśnie umrzesz, Wilczyński, mówi ciemność.

Umrzeć.

Absurdalne uczucie.

Nierealne, gdyby nie strach. I pięciu chudych, ubogich katów, którym akurat musiałem stanąć na drodze.

Dwóch wygląda na jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, reszta pewnie niewiele ponad dwadzieścia. Jakie mam szanse w takim towarzystwie? Niczym tłusty łosoś na wczasach odchudzających dla niedźwiedzi.

Ten z przodu, albinos z oczami w kolorze diodek na pilocie, to szefu całego interesu. Moja sinobeżowa śmierć w stylu Jorubów. Nawet nie zacznie gadki, widzę to po sposobie, w jaki kołysze się na nogach, szykując do startu. Chce mi wypruć flaki tandetnym chińskim scyzorykiem za parę centów. Mały, krępy z tyłu też ma nóż. Chudzielec w podkoszulku z wielkim adidasem na piersi, wszystko *made in China*, potrząsa metalowym prętem, jakby to była rytualna dzida. No i dwóch bliźniaczych adonisów, którzy powinni reklamować gadzety

od Dolce Gabbany, zamiast wymachiwać drewnianymi pałami, niby za dobrych dzikich czasów Wielkiego Zimbabwe.

Ekipa moich zabójców.

Dobra, miałem już nieraz lufę kłamki przy skroni, dźgano mnie kałachem w plecy, szturchano nożem, bito, kopano, próbowano spalić, torturowano i raniono. Teoretycznie umarłem bardzo wiele razy. Powinienem być oswojony.

Tylko że z tym nie sposób się oswoić.

Cholera, no nie sposób.

Znów robi mi się zimno, jakbym dostał pozdrowienia od grenlandzkiej królowej przyczajonej w głębi mego DNA, zamiast krwi mam w żyłach krzepnący sorbet, na ustach wyciśnięty uśmiech kretyna.

Pi, pi, pi, pi, pi, wyje alarm w głowie.

Dobranoc, przyjacielu. Adieu! Tym razem się nie wywiniesz. Dobrze wiesz.

I nagle dzieje się coś dziwnego.

Rzeczywistość zaczyna się zakrzywiać, zamykać, skręcać w spiralę.

Wciąż stoję przed stadkiem moich oprawców, ale już nie ma we mnie lęku. Wyparował w ułamku sekundy.

Teraz powolutku rodzi się wściekłość. Nie moja. Dzika, zwierzęca. Lamparcia.

Ktoś zabrał moje wystraszone, bijące na alarm serce cudzoziemskiego dziennikarza i wsadził w to miejsce wypchany adrenaliną, agresją i mocą worek mięśniowy wielkiego drapieżnika.

Tamtych pięciu zacieśnia krąg, poprawia w rękach broń. Taka sztuczka psychologiczna. Dobra. Robi wrażenie.

Tylko nie na rozwścieczonym lamparcie, który stał się mną.

Do diabła, przecież naprawdę powinienem się bać.

I nic.

Tylko leciutka mgiełka euforii.

Bo mam go za sobą.

Wiem, że mam.

Rośnie.

Potęźnieje.

Cień olbrzyma. Przyjaciela lepszego niż Anioł Stróż, czarniejszego niż intencje albinosa z chińskim majchrem.

Oj, chłopcy, to chyba wy będziecie mieli kłopoty, coś mi się widzi.

Ponieważ czuję, jak obejmują mnie jego potężne niewidzialne ramiona.

Parle ou, mon cheval!

Nareszcie!

Jazda, wojowniku! Będziemy się bić! Ale na poważnie, panowie, aż zostanie z was tylko mięso.

Żarty odłożymy na bok.

Jestem dzikim, wściekłym zwierzem, a to wy, chłopcy, staliście się ofiarami. Patrzę na was żółtymi oczami drapieżcy. Jak lampart na grupkę dzieci, kilka kózek do szybkiego rozszarpania, parę bezbronnych antylop. Przekąskę.

Załatwię was, bo umiem.

To jedyne, co potrafię.

W tej chwili jestem samą skoncentrowaną walką.

Urodziłem się, żyłem i oddychałem tylko po to, żeby was teraz rozszarpać. Całe pokolenia wstecz przychodziły na świat i umierały jedynie w tym celu, żebym stał się idealnym wojownikiem. Bronią w rekach mego *oriszy*.

Pierwotniaki zmieniały się w ryby, ryby w dinozaury, a te padały martwe między drzewiaste paprocie wyłącznie dlatego. Żebym walczył.

Zabiję was, koledzy wilcy, bo jestem o wiele większym psem od was. Psem samego boga.

Jezu, ale buzuje we mnie moc. Tryska jak ropa z odwiertu. Nie umiem jej kontrolować, muszę się poddać. Do diabła, kto potrafiłby opanować wulkan?

Zasuwas, niewolniku Gu! Dalej, rozwal ich! Właśnie otwierają się drzwi klatki i lampart w twojej głowie wyskakuje na zewnątrz.

Allez! Teraz pobawimy się w śmierć po mojemu.

Uśmiecham się trochę, a na twarzy niebieskawego koleżki wilka pojawia się cień zdziwienia. Ale jeszcze nie wahania.

To dobrze.

Agege dziś potrzebuje krwi. Dużo krwi.

A ja jestem właśnie wielkim starożytnym skurwysynem, któremu należy się ofiara od wyznawców.

Bardziej, bardziej się uśmiecham i idę na moje lustrzane odbicie, białego Murzyna z chorą duszą, a staję się teraz czarniejszy niż śmierć.

Lampart jest gotów, żeby uderzyć. Czuje zapach ofiary, podniecająco słodki zapach ludzkiego mięsa. Atakujemy jednocześnie, wielki niewidzialny zwierz i ja.

Albinos chce się cofnąć, ale nic z tego. Wchodzę prosto w jego nóż, bliźniutko, do zwarcia. W czerwonych oczach zapala się nagle lęk i uraza. Nie tak się uczył walczyć w swoich slumsach. Tam nikt nie prze do zwarcia na faceta z maczetą w garści. Przeciwnicy skaczą koło siebie jak koguty bojowe, barwni i zwinni, posłuszni odwiecznej intuicji. Tymczasem biały drań znów oszukuje, znów robi coś wbrew regułom. Przecież powinien uciekać, skomleć o litość, starać się wykupić swoim dolarowym szmalcem. A tu nic z tego, jak widać.

Na każdym kroku przesrane, co za ból.

Jestem tuż przy nim, jakbym chciał wziąć go w ramiona, lecz nie śmiał. Czuję smród przepoconej koszulki i wyraźnie widzę, jak bardzo go zawiodłem.

Znowu, znowu, niczym los, niczym każdy, którego spotykał na swej wyboistej drodze.

No, bracie, taki to już świat, parszywy.

Chlasta mnie tym chińskim wytworem płatnerstwa przez rękę, ale nieudolnie, wręcz nieśmiało jakoś, bez wdzięku. W świetle ognisk napis na ostrzu „stainless steel” jak na złość połyskuje liszajem rudych kropek rdzy.

Czas płynie dla mnie i drapieżcy, którym się stałem, wolniutko, ledwo cieknie, tak jakby chciał się zaraz zatrzymać. Ale mój *orisza* śmiga swobodnie na krawędzi sekund, więc ruszam się szybciej niż podrażniony lampart.

Lampart wie, co robić. Ma to wpisane głęboko w geny pożercy mięsa. Optymalną drogę ataku. Raz za łapę z nożem, wykręcić, kop w krocze, a wszystko w półobrocie, żeby cios pałki najbliższego adonisa grzmotnął w nery nie mnie, ale albinotycznego szefunia. Silny się jakoś musiałem zrobić, bo nadgarstek białawego *borna boya* pęka mi w dłoni niczym patyczek do grilla. *Stainless steel* rodem z Pekinu leci na ziemię, powoli niczym lądownik z promu Atlanta. Za mocno chyba szarpnąłem, bo cała siniutka dłoń, podobna do brzydkiego ptasznika, ciągnie się na pasku skóry i dynda głupio z wiązki patyczków do grilla, które były niegdyś przedramieniem albinosa. Czerwono się robi dokoła, a zapach jest tak przyjemnie żelazisty.

Rozgrzewa. Naprawdę dodaje siły.

Duże krople wsiąkają w ziemię. Lepkie, tłuste, krzepiące.

Co za uczucie!

Borna boy łamie się wpół, a ja niepokoję się przelotnie, czy aby nie złamałem mu kręgosłupa. Chyba nie, choć sądząc z gigantycznej plamy krwi na spodenkach, nie przekaze już swojej mutacji następnym pokoleniom chłopców z Lagos.

Łapię zwinnie nóż albinosa, jeszcze nim ostrze sięgnie klepiska ulicy, i jadę równiutkim sztachem przez zdumiony, przerażony pysk ładnego z pałą. Niech się chłopak dłużej nie stresuje, że mógłby być modelem na mediolańskich wybiegach, a tymczasem marnuje się, mordując frajerów w zaułkach Agege dla marnych paru nair. Teraz już mu nie grozi kariera, obawiam się.

Cholernie tandetny ten chiński scyzoryk. Wygina się na pękającej kości policzkowej, jeszcze zanim przejechałem młodego przez nos, przemieniając go magicznie w pekińską kapustę. Robi mu tylko bruzdę na szczęce, odrywając płat skóry podobny do odklejonej podeszwy.

I znów gorąca, gęsta krew zasila moje starożytne ciało. Czuję, jak rosę, prostuję ramiona, głową znów sięgam chmur, stąpnięciami powalam drzewa. Ręce gniotą czaszki wrogów, jakby to były skorupki jajek.

Dobrze się bawię. Świetnie.

O rany, nigdy się tak nie czułem. Ani w Sudanie, ani w Czadzie, ani w Bośni czy Nikaragui. To orgazm adrenaliny. Jestem na krwawym haju, na haju śmierci.

Jezu, jak mi dobrze!

Były ładny łapie się rękami za to, co dotąd służyło mu za twarz, trąbiąc dziwacznie jak tukan, bo pewnie nie bardzo może krzyżeć. Zatacza się, jakby próbował tańczyć, a potem pada na kolana przed moim majestatem, odwieczną potęgą wielkiego wpierdolu, która pochyliła przez tysiąclecia niejednego hardy kark, ale szczerze wątpię, żeby rozpoznał we mnie boga przodków.

To smutne, jak tradycja zamiera.

Tymczasem cień przesuwa się za moimi plecami, próbuje uderzyć. Słyszę świst metalowego pręta, bojowej dzidy slumsowiska. Żałosne. Zanim spadłby na moją potylicę, zdążyłbym strzelić sobie partyjkę szachów ze średnio uzdolnionym szympansem.

To chyba adidas tak się dzielnie postawił. Daruj sobie, chłopie. Radzę ci z całego serca. Nie można zrobić krzywdy bogu, wiesz?

Wykonuję niespieszny obrót i jednym kopnięciem zwałam go w ciemność. Coś chrupie jak przegryziony słony paluszek. Nie interesuję się już cieniem, bo przede mną stoi krępy z rzeźnickim nożem w garści. Przypomina szefa kuchni, który oszalał podczas filetowania cielęciny. Ma otwarte usta, oczy rozbiegane jak kuleczki z salonu paczinko, zdaje się, że krzyczy, może błaga o pomoc, może klnie.

Do diabła z nim! Kogo to obchodzi? Umysł lamparta jest daleki od takich przemyśleń.

Krok do przodu i już go mam. Łapię za ręce, ściskam, tyk, tyk, powiadają pękające kości. Już nie klnie, tylko wrzeszczy całym gardłem, na jednej nucie. Robię niewielki ruch ramieniem, a on leci, nadając w noc swój monotony komunikat, jak sputnik meteorologiczny.

Zatrzymuję się i przypominam sobie, że chyba trzeba znów zacząć oddychać. Czas trochę przyspiesza, moje płuca ostrożnie nabierają powietrza, adrenalina kotłuje się w żyłach jak ropa w rurociągu. Jeszcze przed chwilą byłem pewien, że głowa mi wybuchnie, ale teraz znów mogę myśleć, powolutku, trochę.

Zaraz, a gdzie drugi adonis?

Ucieka z okropnym, ochrypłym charkotem psa, który postradał zdrowe zmysły. Co mi tam. Niech zwiewa. Może jakiś Versace go kiedyś odnajdzie. Jeśli młody pozbiera się z traumy.

A wątpię.

Dobra, jeszcze jeden serdeczny haust powietrza, żeby wyciszyć trochę emocje.

Orisza wciąż we mnie mieszka, wypełnia przestwór między mną i światem. Nie jest już taki nabuzowany, raczej syty w tej chwili i pewny swego. Przestał wariować, zabrał już lamparta z mojego mózgu. Niedługo pewnie mnie opuści, ale jeszcze jest na to za wcześnie.

Zdaję sobie nagle sprawę, że dobiega mnie odległe, przeciągłe wycie gdzieś na granicy słuchu. To biedak z adidasem. Wije się na ziemi, a jego noga odstaje pod bardzo dziwnym kątem. Zdaje się, że zdruzgotałem mu kość udową.

Albinos leży na ziemi, wciąż złożony wpół, jak własny scyzoryk. Obok ładny z rozplataną twarzą, który pewnie zemdlał z szoku. A biedny sputnik, co nie miał fartu i widocznie w drodze na Księżyc zaczepił o stopy swego szefa, dopełnia sterty. Pewnie dymnął łbem o utwardzoną nawierzchnię ulicy.

W sumie powstał krajobraz z kreskówki Tartakowskiego. Jeden negatywny koleś ucieka z wrzaskiem, a większość złoczyńców spoczywa na schludnej kupce. No, nie takiej może schludnej. Narobiliśmy trochę burdelu dookoła siebie, trzeba przyznać.

Ale zło i występki znów zostały powstrzymane.

Przez pojedynczą Atomówkę w średnim wieku, opętaną duchem afrykańskiego demona.

Patrzę na jatkę, której stałem się przyczyną, i nic nie czuję. Kompletnie nic.

Ani śladu żalu, ani krztyny przerażenia.

Być może zabiłem któregoś z nich.

Najprawdopodobniej wszystkich.

Od tego przecież jestem.

Przyjaciel śmierci. Wierzchowiec diabła.

Po co była mi ta cała Afryka, te wszystkie inne Salwatory i Czeczenie? Bo przyciąga mnie zapach krwi, swąd wojny. Bo potrzebuję pooddychać powietrzem przesyconym masakrą, żeby poczuć, że w ogóle żyję. Kiedy ocieram się o śmierć, mogę spać, mogę pracować, pieprzyć się i snuć plany na przyszłość. Bez tego jestem workiem skóry wypełnionym papką z wody i mięsa.

Brzdęk.

Pustka.

Trzy zet.

Zupełnie.

Zwyczajny.

Zasraniec.

Bez rozprutych brzuchów ciężarnych matek, bez rozdeptanych główek niemowląt, bez rąk, nóg, cycków odrzynanych wprawnym pociągnięciem noża, bez spalonych w benzynie trupów, bez ciał poszatkowanych kulami z automatu nie znalazłbym samego siebie, niemożliwie podobny do każdego innego *oibo* naszej cywilizacji.

Idealnie identyczny produkt przeciętności.

Bez masakr nic mnie nie wyróżnia.

Ani wybitny intelekt, ani ponadprzeciętny talent, ani urok osobisty, ani charyzma.

Dupek z samego centrum Dupkowa.

Biegający w panice w środku własnej głowy, żeby przypomnieć sobie, jak się nazywa.

Hej, koro czołowa, czy ja jestem Johnem z przeciwka, czy może Dominikiem spod trójki?

Pomocy, kochany hipokampie, co ze mnie zostało poza numerami konta, identyfikacji podatkowej, serią paszportu i prawa jazdy?

Halo, płacie potyliczny, dokąd ja właściwie zmierzam, co?

Oj, zakręt skroniowy! Nareszcie! Powiedz mi, mój drogi, czy ja to ja, czy tylko przypadkowa iskra życia powstała w zupie pierwotnej?

Nic.

Nula.

Zero.

Tak brzmi odpowiedź na wszystkie tak zwane Wielkie Pytania.

Możesz udawać, że jest inaczej.

Możesz się obrazić.

Możesz ubrać to w zen, wyjąć się i starać się być ponad to.

Możesz popaść w manię religijną.

Możesz z oburzeniem wystękać: „Nieprawda!”.

Możesz bawić się w durne filozofie naszpikowane takimi głupstwami, jak byty i ontologie.

Ale prawdy, bracie, nie zmienisz.

Gdybyś nagle znikł z powierzchni ziemi, świat wcale nie zachwiałyby się w posadach. Paru twoich bliskich posmarkałoby w chusteczkę przez jakieś kilka miesięcy, przypomniawszy sobie nagle, jak marnie opowiadałeś dowcipy albo jak irytująco rozrzucełeś dokoła siebie ubrania, ale to wszystko.

Jesteśmy tylko starymi slajdami, które blakną pod wpływem czasu.

Żyjemy w krótkich przebłyskach adrenaliny.

Reszta to śpiączka codzienności.

Nudna koma, w której tkwimy pogrążeni, aż nagle ze zdziwieniem stwierdzimy, że monotonny hałas dochodzący z góry od jakiegoś kwadransa to ziemia sypiąca się na wieko naszej trumny.

Amen, przyjaciele.

Oto zatrąbił anioł wtóry i oznajmił, że właśnie przesraliście swoje bezsensowne życie.

Tymczasem: „Kochanie, zapal światełko na grobie dziadziusia”, „Odszedł nasz nieodżałowany” oraz „Tu leży ukochany mąż i ojciec”, zanim zdążysz złapać się za głowę i krzyknąć: „Jak to?” i „Skandal!”.

Do diabła, czy można mieć gorszy nagrobek?

„Mąż i ojciec”. Koleś, którego całym życiowym wyczynem było, że się ożenił i parę razy popracował ptakiem, żeby spłodzić dzieci?

Nie zwariowałem skutkiem wypadku, w którym usmażono Jacques'a.

Ześwirowałem, bo zabrakło mi śmierci.

Cholera, jak mogłem tego wcześniej nie zrozumieć?

Stoję w mroku Agege, cały umazany lepka, krzepnącą krwią, i doznaję tego cudownego olśnienia.

To piękne, szlocha wzruszony hipokamp.

Och, do licha, Wilczyński! – wtóruje mu zakręt skroniowy.

A płaty czołowe tylko zamarły w zachwycie.

Odnalazłem właśnie klucz do swojej duszy.

W chwili gdy opuścił mnie bóg.

Czy to nie cudownie znaczące?

Dobra, to tylko *orisza*. Może nie aż bóg, ale przynajmniej bóstwo.

Zawsze coś.

No, ale teraz chyba powinienem się umyć. Każdy taksówkarz tylko depnie na gaz, gdy zobaczy faceta od stóp do głów czerwonego, jak jakiś posrany Święty Mikołaj.

Przekraczam najbliższą kloaczną kładkę z chybotliwych desek i znajduję się na podwórku. Trzy młode kobiety z chustami *gele* na głowach, skupione przy dymiącym ognisku, gapią się na mnie niczym przerażone sowy pomalowane do jakiejś reklamy w żywe kolorki.

Nie ma się co przejmować. Nawet nie pisną. W końcu to Agege.

– Mogę skorzystać ze studni? – pytam uprzejmie.

Ładna, wysoka dziewczyna wyciąga drżący palec, wskazując kąt podwórka.

– Dziękuję. – Uśmiecham się serdecznie.

Miło jest spotkać życzliwych ludzi. Nawet w Agege.

Nabieram wiadrem wody i opłukuję ubranie w poobijanej misce. Na brzegu cembrowiny leży żółty i wyschnięty kawałek mydła. Jak przyjemnie.

Widać to zamożne gospodarstwo. Własna studnia, kosmetyki. Istny luksus.

Oblewam głowę i ramiona, namydlam, splukuję.

Woda pieni się głębokim różem. Wkrótce wyglądam na tyle schludnie, żeby opuścić gościnne progi.

Kobiety nadal tulą się do siebie przy ognisku. W blasku płomieni widać ich oczy połyskujące czystą paniką.

– Dobranoc – mówię na odchodnym.

Kiwają głowami sztywno jak lalki.

Rankiem pewnie popędzą do najbliższego *babalawo* po więcej ochronnych *juju*, bo ich posesję nawiedził w nocy okropny demon.

Przestronne lobby hotelu „Meridien” lśni w ciemności nocy niczym brama Niebios. Cudowne, rozświetlone żarówkami wejście do rajy cywilizacji. Do prysznica, telefonów, wiadomości w telewizji, drinka w barze, do racjonalności.

Wkraczam do hallu i chwiejnym krokiem leżę w stronę windy, niezwykłym zrządzeniem losu niezauważony przez sennego koleśka w recepcji. Małe szczęścia czasem się do nas uśmiechają.

Brakuje mi tylko nieśmiertelnego cyrku w rodzaju: „Och, sir! Pan krwawi! Co się stało! Zaraz wezwę lekarza! Yemi, Yemi, dzwoń na pogotowie!”. Przechodziłem parę razy podobne obrzędy, nic miłego, naprawdę.

Winda sunie z tym cichym, eleganckim sykiem, który zapewnia nas o najwyższej jakości usług, i już otwiera przede mną swe eleganckie, lśniące lustrami wnętrze, kiedy okazuje się nagle, że przyjechała wprost z piekła.

Drzwi rozsuwają się niemal bezgłośnie i winda wypluwa mi prosto w ramiona panią reporter od cierpiącej ludzkości Lornę Danton. Patrę na twarz o ostrym nosie i arogancko wysuniętej szczęce, programowo nietkniętą cieniem makijażu, workowaty T-shirt z napisem „Kill your macho, girl!”, słabo wzdęty na jej mizernych cyckach, i nie wierzę własnym oczom. Przysięgam, że wołałbym ujrzeć Lucyfera pod rękę z Belialem.

– Wilczynsky! – wrzeszczy z oburzeniem, przenikliwym głosem ptaka dodo, jakby przyłapała mnie na okradaniu nieszczęsnych głodujących dzieci z mleka w proszku i szczepionek. – Jak ty wyglądasz?! Zabiłeś kogoś czy co?!

Jestem tak cholernie znużony, że muszę się złapać framugi, żeby nie upaść. Bolać mnie wszystkie mięśnie, a w głowie pracuje maglownica.

– Tak, Lorna. Będzie ze czterech ludzi, chociaż nie pamiętam dobrze.

Wydyma zaciśnięte, wiecznie gniewne usta walczącej amazonki, jakby chciała prychnąć „idiota”, ale z trudem się powstrzymała.

– Widzę, że się nie zmieniłeś, Jack. Humor dopisuje. No cóż, cieszę się. Słyszałam, że miałaś poważne problemy psychiczne. Depresja, samobójstwa, zwidy. Już minęły?

Szczerzę zęby.

– W tej chwili nie jestem do końca pewien. A przy okazji, nie można popełnić samobójstwa kilka razy, Lorna.

– Miałam na myśli próby! – mówi dobitnie, a po jej minie widać, jak bardzo żałuje, że się nie powiodły. – Idiotyczna szczeniacka ironia, jak zwykle. Oj, jak wy wszyscy lubicie strugać macho. Mężczyźni! Choroba umysłowa to żaden wstyd. Zdarza się wśród ludzi o słabej konstrukcji psychicznej. Pytałam z troski. Podobno wylądowałeś w zakładzie zamkniętym?

– Niestety, kotku. Bardzo mi przykro. Nie zamknęli mnie w więzieniu ani na oddziale dla psychopatycznych przestępców. To było zwykłe sanatorium.

Za tego „kotka” zaraz odgryzie mi głowę. Jej zimne jak prosektorium, szare od gniewu oczy mrużą się wściekle.

– No cóż, życzę zdrowia. Muszę iść. Spieszę się na zdjęcia w Yaba.

– To baw się dobrze. Strzel sobie drinka za moją słabą kondycję psychiczną.

Aż się wzdraga ze zgrozy, że ktoś śmiał ją posądzić o wizytę w dzielnicy rozrywki w innym celu niż rozdieranie szat i otwieranie oczu zgniłej, konsumpcyjnej Europie. Królową wzdętych brzuszków i konających osesków?

– Do cholery, Wilczynsky! To będzie program o prostytutce wśród nieletnich! W końcu ktoś musi krzyczeć o takich rzeczach, skoro resztę stać tylko na cynizm i obojętność!

– Nie ochrypniij tylko, skarbie.

Ale ona już odchodzi, kołysząc ostentacyjnie kościstym tyłkiem opiętym spranymi jeansami. Spięte gumką recepturką stalowoszare włosy znaczą siwe pasma. Pewnie tleni je specjalnie, żeby wyglądać godniej. Upersonifikowana wrażliwość społeczna. Założę się, że urodziła się równie ostentacyjnie i tak jej już zostało.

Jasne. Nocne życie Lagos. Nieszczęsne małoletnie ofiary niesprawiedliwości społecznej zmuszane do pracy na ulicy przez wszechwładny patriarchy. Lorna słynie z takich wstrząsających reportaży. Tylko mało kto wie, że cały czas nie wyściubia nosa z samochodu, a kierowca trzyma nogę na gazie, żeby prysnąć, gdy tylko zrobi się gorąco. Paru operatorów dostało przez to niezły oklep. Było trochę nieprzyjemności, bo stracili sprzęt, ale pani Sumienie Zachodniej Cywilizacji wykręciła się z tego łagodnym ślizgiem. Należy do tych uwrażliwionych na ludzką krzywdę produktów Sorbony czy Berkeley University, które słyną potem z programów typu „Na własne oczy” albo „Tam byłam!”, a nigdy nie wychylają się poza hotelowy balkon. Pod kule, w rejony walki, jadą tylko operatorzy i dźwiękowcy, bo pani redaktor jako kobieta „nie byłaby mile widziana” lub „nie uzyskałaby należytego respektu”, gdyż „w tej kulturze jej pozycja nie byłaby należycie rozumiana”.

Ale szpitale pełne umierających dzieci to już smaczny chlebek powszedni.

„Daj zbliżenie na te muchy łączące po oczkach, John!”, „Hej, prędko, gdzie kamera, Will? Do diabła, szybciej! Ta mała za parawanem chyba właśnie umiera!”

Nie cierpię suki.

Lorna jest jak zły znak. Jak przekleństwo. Omen świadczący o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Zwiastun huraganu. Spotkanie twarzą w twarz z tą nowoczesną, uświadomioną społecznie hieną wstrząsnęło mną do głębi.

Jorubowie kazaliby mi natychmiast odprawić ceremonię oczyszczenia. Złożyć w ofierze kilka ryb ze świętej rzeki Niger, wpaść w taneczny trans i błagać *oriszów* o pomoc.

Bo to Lorna zabiła Jacques’a, a mnie i Femiego wpędziła głęboko w szaleństwo.

Jestem pewien, że kurew za to odpowiada.

Nie mam dowodów, ale w głębi duszy wiem, że to ona. Bo kto inny, do diabła? Nikogo innego nie było wtedy w Liberii. Nikogo, kto mógł wiedzieć, gdzie Jos szkoli swoją milicję.

Jacques musiał chlapnąć coś przy suce, przecież wydawała się całkiem niegroźna, zajęta ciężarnymi matkami i noworodkami pożeranymi przez muchy. A może przekupiła Femiego? Nie dowiem się. Nigdy się nie dowiem.

W każdym razie to nie ja. Nie ja zdradziłem Josa z głupoty, chciwości czy innej przyczyny.

Ale nocami, nawiedzanymi tupotem bosych stóp i swądem mego spalonego przyjaciela, nie mogę spać, dygocząc z przerażenia, bo nie jestem wcale pewien, czy Jos o tym wie.

Wlokę się z trudem do windy, pełnej niedawnej obecności Lorny, wciskam guzik i oddycham głęboko feromonami jej nienawiści.

Źle się czuję. Słabo.

Od teraz nic już nie będzie dobrze. Wiem, co mówię, naprawdę.

Siedzę teraz nad drinkiem z krwi i szukam wyjaśnień. Ale wyjaśnień nie ma. Nie zdążyłem się przebrać, nie zdążyłem opatrzeć chlaśniętej chińskim scyzorykiem ręki, lecz udało mi się wypić trzy czwarte flaszki wesołego Jasia Wędrowniczka. Moja lamparcia, wojownicza jucha kapie czerwienią do szklanki.

Wspominałem, zdaje się, że chce mi coś powiedzieć, jednak na razie nie rozumiem ani słowa.

Wszystko mnie boli. Chyba ponadrywałem sobie ścięgna. Zamiast mięśni mam rozmokłą gąbkę. Oblepia mnie sztywna od brudu koszula. Oblepiają mnie złe wspomnienia. Oblepia mnie strach.

Rany, jak bardzo potrzebuję kąpieli. Pragnę niczym grzeszna dusza zbawienia.

I zaraz dostąpię tego szczęścia.

Bo dziś jest noc cudów. Musi być, skoro złapałem w Agege taksówkę.

Niech wszyscy święci pobłogosławią nieszczęsnego desperata, który potrzebował kasy do tego stopnia, że zatrzymał się na mój widok. Wcisnąłem mu w rękę całą gotówkę, jaką przy sobie miałem. Równowartość mojego własnego życia. Judaszowe trzydzieści srebrników za siebie samego.

Nie wiem, w jaki sposób przetrwałem napad *borna boys*, ale niewiele to miało wspólnego z uczciwą walką. Coś się stało ze mną, chociaż sam nie wiem dobrze co.

Coraz słabiej to wszystko pamiętam.

Poszczególne sceny są oderwane, nierealne, rozmyte.

Ostrza noży, krzyki, ciosy. Ciała leżące bezwładnie na ulicy. Zawodzenie rannych. Co to miało być, pieprzone Little Big Horn?

Załatwiłem gołymi rękami pięciu młodych, sprawnych facetów? Bo wstąpił we mnie duch lamparta?

To już nie zwykłe, pocziwe szaleństwo. Cały świat wywrócił się na lewą stronę, a ja właśnie oglądam go od podszewki.

Do diabła, co się tam wydarzyło?

Biłem się.

To wiem na pewno.

Zabiłem kogoś?

Nie pamiętam.

Chyba tak.

I bardzo mi się to podobało.

Siedzę teraz w głębokim fotelu przytulnego, starego „Meridien” nad szklanką z czerwonym drinkiem, najzupełniej żywy, mokry, krwawy i krwawiący, bo albinos zdołał nieźle rozharatać mi przedramię swoim tandetnym majchrem, i myślę tylko o wannie pełnej wody.

I o Lornie.

O złym duchu rodem z Sorbony, który znów nawiedził moje koszmary.

Ale kiedy zasypiam, nieprzytomny ze zmęczenia, po kąpielii dłużej jak przejście przez Morze Czerwone, we śnie przybywa do mnie niespodziewany gość. Oczekiwałbym raczej Jacques’a lub pani Danton unoszącej się w przestrzeni nocy pod postacią strzygi, tymczasem odwiedza mnie przyjaciel, którego zepchnąłem w głąb zapomnienia, do studni pełnej mętnych, czarnych liberyjskich wspomnień. Trup w szafie pamięci. Jos van der Groose.

Jest noc w moim śnie. Parna, dzika noc afrykańska, zalatująca piżmem, naładowana pierwotną siłą, przepełniona wrzaskami, posapywaniem, rykiem zupełnie nieudomowionych zwierząt, zanurzona w ciemności, o jaką moglibyśmy posądzić tylko początek górnego paleolitu. Siedzimy przy stole zbitym ze starych skrzynek po owocach, a wokół roztacza się kolonialne imperium Josa. Zeriby, chaty kryte palmowymi liśćmi, namioty z wojskowego brezentu, kuchnia polowa. Krąg ludzkiego zwycięstwa nad mrokiem natury, wyznaczony bladymi płomykami naftówek.

Obóz szkoleniowy dla milicji obywatelskiej, utworzonej z ochotników pragnących bronić swoich rodzin przed napaściami warlordów. A parę kilometrów dalej wioska dla uchodźców, punkt szczepień, polowy szpitalik, szkołka dla dzieci i kaplica, dogładana przez brazylijską zakonnicę, siostrę Soledad.

Mały skrawek cywilizacji wybudowany przez tego szurniętego błękitnookiego anioła w koszuli khaki.

Za pieniądze z przemytu diamentów i broni.

Coś dla Nieba, coś dla diabła.

Filozofia według Josa van der Groose’a.

Na stole flaszka whisky, na wpół wyjedzona konserwa, skórzany woreczek, z którego niedbale, banalnie wysypują się diamenty, jakich hollywoodzkie gwiazdy nie dostaną nawet od swoich najbardziej nadzianych kochanków, mapy oznaczone krwawymi odciskami

flamastra. Szaleństwo wylewające się z głowy Josa i promieniujące we wszystkie strony jak nimb cholernego świętego.

To nie jedyny taki obóz. Jos prowadzi ich kilka, może kilkanaście, w różnych krajach kontynentu. Zawsze tam, gdzie toczy się wojna, gdzie dzieją się czystki rasowe, etniczne, religijne.

Jak gniewny burski patriarcha rozacza kuratelę, buduje szpitale, punkty opatrunkowe, rozdaje jedzenie, sprzedaje broń.

– Ale tylko tym, który mają choć odrobinę racji – zarzeka się zawsze.

Czasem myślę, że van der Groose tak naprawdę nie istnieje. Że wypadł z kartek przygodowej książki dla chłopców z początku dwudziestego wieku. Albo z komiksu o Quartermanie. Liga pojedynczego niezwyklego gentlemana, który nie chce przyjąć do wiadomości, że kolonialna Afryka rodem z awanturnych powieści już nie istnieje. Dla Josa nadal najważniejszy jest honor, sztucer, odwaga i umiłowanie tradycji.

Ma jakieś niewyobrażalne pieniądze, odziedziczone, ukradzione gangsterom czy zarobione na przemyśle, i łeb nabity ideami jak Batman. Niestety, brakuje mu Alfreda do pomocy oraz studzenia emocji.

Brakuje mu też zdrowych zmysłów. W życiu nie spotkałem tak pokręconego faceta. I kogoś, kto miałby tylu wrogów.

Nienawidzą go społecznie komunistyczni rebelianci, lewicowi partyzanci, muzułmańscy bojownicy, zwolennicy politycznej poprawności, zaangażowani społecznie dziennikarze, skorumpowani urzędnicy, warlordowie różnych maści, lokalni politycy, plemienni królowie i obrońcy demokracji.

Ale van der Groose zdaje się tym nie przejmować.

Po prostu robi swoje.

Jakiegokolwiek szaleństwa by to oznaczało.

Teraz uśmiecha się do mnie znad butelki whisky, pogrążony w błękitach swoich ogromnych nierealnych planów, które przeświecają przez tęczówki jego poważnych, pełnych nadziei oczu.

– Jos – mówię ostrożnie – to się nie uda. Nie ma mowy. To nierealne.

Łup! Pięść wielkości prawicy Pana spada na nieheblowane dechy blatu, dzwonią błyskawice diamentów, podskakuje puszcza wołowiny w sosie.

– Jack, ty, chłopie, znów siejesz defetyzm! Ja muszę, rozumiesz? Muszę! Taki pieprzony obowiązek. Ojciec na mnie patrzy z góry, z dziedziny anielskiej, patrzą dziadowie, przodkowie! Nie mam wyjścia, człowieku! Pojmujesz?

Gapię się w niebieskie, rozświetlone czyściutkim oblędem oczu van der Groose'a, jarzące się niby rozgrzany reaktor, i wiem, że niczemu nie powinienem zaprzeczać. A jednak otwieram usta i ku własnemu zdumieniu zaczynam mówić językami, których ten nawiedzony protestancki olbrzym na pewno nie ma ochoty słuchać.

– Do diabła, nie możesz na nowo skolonizować Afryki, jak jakiś cholerny biblijny król z Nieistniejącego Testamentu, księga dwudziesta trzecia. Sam jeden, natchniony duchem Bożym? Odbiło ci, Jos. Dlaczego uważasz, że to właśnie jest to, czego pragnie od ciebie Pan i szanowna martwa rodzina?

Wpija łapę o rozmiarach bejsbolowej rękawicy w swoje pszenne nordyckie kłaki i szarpie nerwowo, jakby miał zamiar wygrzebać tam logiczne argumenty. Widomy znak, że zaczynamy deptać niebezpiecznie blisko granicy jego pieprzonej obsesji.

– Obowiązek, Jack. To jedno słowo tłumaczy wszystko. Rodzimy się związani zobowiązaniami wobec Boga, rodziny, bliźnich, świata. To szczytne, ważne, potrzebne, choć czasami bardzo ciężkie brzemię. Czy ja ci to muszę wyklądać? Dorosły jesteś, cholera!

Wskazuję głową w ciemność, gdzie kręcą się, pracują, odpoczywają, rozmawiają i marzą czarni podwładni Josa.

– A oni to nie? Czemu chcesz nimi rządzić, decydować za nich? Znów pakować ich na dolną półkę, gdzieś pod dziećmi, końmi i psami, tylko dlatego, że nie są biali jak świeżo wypieczona bułeczka? Pieprzony rasista z ciebie. Daj tym ludziom normalnie żyć. Niech mają swoje sprawy, swoje kraje, swoich przywódców...

Łup! Znowu małe trzęsienie stołu i burza diamentowych błyskawic.

– A ty co tu robisz? Dlaczego tu jesteś? – przerywa. – Przyjechałeś oglądać radosnych ludzi podczas wesołych codziennych czynności, co? Pierdolenie! Przyciągnęła cię wojna, krew, gówno i sterty trupów! Może nie?

– To ich wojny – tłumaczę spokojnie. – Co ci mam innego powiedzieć? Niedobrze, kiedy giną i cierpią niewinni ludzie. Ale zniewolenie to także zło. Akurat ja dobrze o tym wiem. W moim kraju długo nie było wolności. Dlatego jestem teraz tutaj, a nie w rodzinnym domu, gdzie się wychowałem i gdzie patrzę na mnie ze ścian portrety dziadziusiów na kasztankach i babć w patriotycznej żałobie.

Jos macha pogardliwie ogromną jak kosmos ręką.

– Daj spokój! Co tu porównywać? Przecież to całkiem inna sprawa. Popatrz na nich. Oni są jak dzieci. Mieli swoje kultury, swoje cywilizacje, państwka obejmujące parę chałup i wodopój. A potem przyszliśmy my, Europejczycy, i postanowiliśmy zaprowadzić nasze porządki. Jakoś to szło, nie wnikam, dobrze czy źle. Stało się i już. I nagle co? Totalna rozpierducha! Sorry, sorry i wycofujemy się rakiem. Dajemy Afrykanom wolność i pieprzoną demokrację! Tyle że oni nie mają pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Są całkiem zdemoralizowani, skołowani, ogłupiali. Te wybory, prezydenci, parlamenty, samorządy! Skąd mają wiedzieć, jak takie cholerstwo działa? Nie łapią tego, nie rozumieją. Dlatego pojawiają się warlordowie, ci nowi plemienni kacykowie, wyzuci z wszelkich zasad, tradycji, moralności. Te cholerne szumowiny, odpady z piekła! Kiedyś, gdy do zdobycia i utrzymania pozycji potrzebna była dzida i odwaga w boju, nie mieliby takiej władzy, ale teraz są samochody, karabiny, łączność satelitarna. Teraz mogą być pieprzonymi władcami świata!

Zobacz, co dało Afryce to całe cholerne wyzwolenie! Krew, śmierć, przemoc. Nie, Jack. Mnie nie przekonasz. Oni nie dorosli do systemu, który im na siłę zostawiliśmy w spadku. Do diabła, trzeba było w ogóle się tu nie pakować albo doprowadzić rzecz do końca. Jeszcze sto, dwieście lat mądrych rządów kolonialnych i można by się było powolutku wycofywać. A tak doszło do katastrofy. Zostawiliśmy tu bandę dzieci we mgle. Dzieci z automatami i głowami nabitymi pojęciami, których nie są w stanie zrozumieć.

– Caryca Katarzyna pewnie z podobną troską myślała o Polakach, kiedy zarządziła rozbiory – mówię wprost w szalony błękit oczu Josa.

Wzrusza ze złością ramionami.

– Wy, Polacy, zawsze tylko o sobie! Wyluzuj, człowieku. Nie tylko wy macie historię.

– Jasne. A przy okazji, myśmy nie włązili innym na ich podwórko, ani w szczytnych, ani w paskudnych celach. Po cholere było się pakować do cudzego kraju? Za mało miejsca w Niderlandach? To trzeba było sobie osuszyć kawałek polderu.

Rozjarzony błękit przygasa trochę, ciemniej.

– Jakich znowu Niderlandach? Sprzed czterystu lat? Ja jestem Burem, Jack. Afrykanerem. Nie mam żadnego innego kraju, człowieku. Tylko Afrykę.

– I z tego powodu zamierzasz teraz zostać męczennikiem kolonializmu, cholernym protestanckim świętym od szkół i szpitali? To się niedobrze skończy, Jos. Nawet dla ciebie.

– O świętości decyduje tylko Pan, chłopie. Mnie nic do tego. Znam swoje powinności i zamierzam je realizować.

– Amen – warczę wściekle. – Tylko czy to wszystko warte aż tylu wysiłków? Może trzeba było zostawić czarnym ich własną kulturę, a nie włązić z butami w nie swoją cywilizację. Co im to dało, Jos? Jedną dobrą rzecz?

– Boga – odpowiada z niewzruszoną pewnością Marcina Lutera. – Zbawienie duszy. Istnieje coś bardziej wartościowego, Jack?

Milczę. Tak jakoś nagle nie chce mi się już pałać świętym ogniem oburzenia. Jos po prostu taki jest. Niezmienny jak Golfstrom. Można go przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza albo odrzucić w całości. Razem ze szpitalami, szkołami i kościołami, które rozsiewa po Afryce niczym średniowieczny święty.

– Dlaczego nam pomagasz? – pytam. – Mnie, Jacques'owi, całej reszcie. Przecież jesteśmy reporterami wojennymi, hienami na padlinie tego kontynentu, co?

– Bo kocham Afrykę. Kocham to pieprzone miejsce. A wy możecie pokazać prawdę o nim. Pomagam wam, bo jesteście rzetelni. Ponieważ dobrze wykonujecie swój zawód. A mało teraz takich dziennikarzy, Wilczynsky.

Sięgam po flaszkę whisky. Już czas wypić, czas powędrować w dal razem z Wesołym Jasiem. Za daleko to wszystko sięgnęło. Jeszcze chwila i coś się na zawsze odwróci, coś zmieni.

A ja nie lubię zmian.

- Wypełniamy pieprzony obowiązek? – mówię do Johnniego w butelce.
- Tak – powiada poważnie Jos. – Właśnie tak.

To do Josa jechaliśmy wtedy z Jacquesem i Femim, kiedy jeep najechał na minę.
Minę, która czekała specjalnie na nas.

Bo pani Lorna Danton, nienawidząca van der Goose'a bardziej niż samej globalizacji, powiadomiła swoich lewicujących przyjaciół z kolejnej frakcji jakiejś tam armii w czerwonym kolorze, żeby śledzili, dokąd jedziemy, to z pewnością dotrą do kryjówki swego najgorszego burskiego wroga.

Brzmi jak pieprzona krwawa bajka Andersena.

O dobrej królowej czy złej królowej.

O czarowniku, głupim Janku i martwym towarzyszku podróży.

Ja jestem głupkiem, co wyrusza w świat.

Jos martwym przyjacielem.

A Lorna zaklętą księżniczką. O sercu w kształcie Czerwonej Książeczki.

Które szeleści lodowatą mądrością, zamiast bić po ludzku.

Dlatego mój szalony, nieżnośny, zakonserwowany w swoich dziewiętnastowiecznych poglądach przyjaciel musi być martwym przyjacielem.

Głosem zza grobu.

Duchem pierwotnej afrykańskiej nocy.

A księżniczka obnosi na plastikowej tacy odciętą głowę czarownika.

Radujcie się, zło zostało pokonane.

Dziwaczna to bajka i chyba nie wszystko z niej rozumiem. Brakuje mi dowodów i dobrze wiem, że nigdy ich nie zdobędę.

Jasne, ale innej opcji po prostu nie ma.

Lorna beknęła swoim koleżkom od sprawiedliwości społecznej, gdzie szukać Josa, a oni sprzedali tę informację zaprzyjaźnionym warlordom.

I mały kawałek cywilizacji zbudowany z marzeń stukniętego Afrykanera poszedł się jebać w męce, krwi i poźodze na niemal biblijną skalę.

Widziałem w życiu wiele masakr. I dobrze wiem, że nie usprawiedliwią ich żadne szczytne hasła.

Do diabła. To nie żadne odkrycie, ale powiem wam, że lepiej głupio myśleć i robić dobrze niż odwrotnie.

Potem, wiele dni potem, w szpitalu, wstrząsany dreszczami lodowych pocałunków grenlandzkiej królowej malarii, zrozumiałem, że to musiała być Lorna.

Ale nigdy, nigdy nie zapytałem, czy Jos przeżył tę rzeźnię.

Nie wiem dlaczego. Nie potrafię wytłumaczyć. Chyba za bardzo się bałem odpowiedzi.

Chyba za bardzo.

Jest lepiej.

Rozmawiałem z Fabienne. Jej słaby głos spływał ze słuchawki drobnymi kroplami, miodowo-cytrynowy, ożywczy. Syrop o smaku serdecznych uczuć. Kiedy umilkł, zrobiłem się smutniejszy niż przedtem. Jakbym zgubił drobną pamiątkę z dzieciństwa. Muszelkę znaną na plaży, tandetny talizman od ładnej dziewczyny, bilet do lunaparku.

Tęsknię, a to już dobry objaw.

I nudzę się.

Pokój hotelowy, lobby bar, bazar, w kółko to samo.

Biały bokser grozi mi pięścią z upalnego nieba. Pocę się, męczę, łażę bez celu. Sam. Bez Marli. Bez Jacques'a. Bez nawiedzeń.

Mój spalony kolega już do mnie nie przychodzi.

Orisza zabrał z mojej głowy swoje lamparty. Nie został nawet cień ich cętek.

Jestem wolny jak rodnik.

Znow mogę w niego nie wierzyć.

Kupiłem na targu magiczne *juju* dla Fabienne. Bransoletę z ogona słonia. Parę grubych, sztywnych włosów splecionych w coś w rodzaju czarnych kajdanek. Wygląda jak pęczek kabla.

Jasne, że nigdy tego nie włoży.

Jej cyklamenowe usteczka ściągają się z obrzydzenia, ale spróbuje dzielnie przymierzyć tę afrykańską ohydę, nawlec na swój wąziutki karmelowy nadgarstek, żeby sprawić mi radość.

Muszę pamiętać, żeby przed wyjazdem zdobyć dla niej ładną błyskotkę ze złota. Porządną bransoletkę albo łańcuszek. Może wesołą wakacyjną ozdobę na kostkę u nogi.

Pięknie by wyglądała, mrugając złotą łezką na cienkiej, opalonej pęcinnie gazeli.

Powrót.

Naprawdę myślę o powrocie.

Jeszcze mgliście, niepewnie, ale zawsze.

Nie zaraz, nie za kilka dni, lecz jednak.

To chyba też dobry objaw.

Pęcznieję od tych dobrych objawów.

Przelewają mi się przez głowę, przepelniają dołek pod żebrami jakimś czczym głodem. Dobra, czas przyznać, że nic więcej się nie wydarzy. Moje piękne lyońskie życie woła gdzieś z końca tunelu przepelnionego białym światłem.

Witaj! Witaj! Czas się narodzić na nowo.

Trzeba by zabukować bilet do Europy, wysiąść na starym, dobrym Satolas, paść w ramiona wytęsknionej przyszłości.

Nie ma się co rzucać, człowieku. Tygrys bez wąsów to zawsze jednak tygrys.

I wtedy po raz kolejny Afryka postanawia mnie oślepić.

– Jack!

Plask! Brzmi jak odgłos spadającej dojrzałej śliwki. Nie sposób pomylić tego głosu. Odwracam się, a zza baru w lobby „Meridien Eko Hotel” podnosi się Marla Bjornsen.

Marla Bjornsen w obcisłej czarnej kiecce w chińskie róże, której nikt przy zdrowych zmysłach nie założyłby w taki upał. Marla z uśmiechem na wąskich, ciemnych od szminki ustach. Marla z kastanietami lodu w szklance whisky.

Jej oczy są przejrzyste, żółte jak u zwierzęcia. Źrenice przypominają pestki zanurzone w miodzie.

– Witaj, Jack – mówi po prostu. – Koty powiedziały mi, że wróciłeś. Co ci się stało w rękę?

– Naprawdę wyjechałaś? – pytam, rozparty z drinkiem na śnieżnej zaspie kanapy w jej salonie.

Kiwa głową.

– Tak. Musiałam. Jakies tam bzdury związane z rurociągiem. Coś trzeba było wyjaśnić, złożyć oświadczenie. Koszmarna nuda.

Koszmarna nuda to praca Marli. Nigdy inaczej nie nazywa swego zajęcia. Jest rzeczniczką prasową wielkiego naftowego koncernu i szczerze mówiąc, nie ma zbyt wiele do roboty.

– Tylko dlatego jeszcze to ciągnę. – Uśmiecha się.

Jest wieczór. Przez wielkie, panoramiczne okno widzę, jak ubrani w eleganckie białe koszule i nieodzowne czarne spodnie *day watches* ustępują miejsca nocnym wojownikom, *night watches*, dwóm krępyim, ciemnym jak bezgwiazdne niebo mężczyznom z twarzami poznaczonymi głębokimi bruzdami *tribal marks*, odzianym w długie szare tuniki, ściskającym w garściach łuki i strzały.

Strażnicy Marli.

Ochroniarze domu, majątku i spokojnego snu.

Jaśni i mroczni, niczym wyznawcy dziwaczego bóstwa.

Istoty z dwóch biegunów afrykańskiego świata.

Białe koszule kontra bure szaty.

Szkolny angielski versus niezrozumiały pidżyn.

Z jednej strony prawie Europa, z drugiej prawie paleolit.

Chociaż w nocy, no, w nocy lepiej stawiać na tradycję.

Większość willi po zmroku ochraniają sprowadzeni z interioru *night watches*, uzbrojeni w łuki. Wojownicy z głębokiej północy do świtu będą śmigać ciszej od cienia po przestworzu nocnego ogrodu pani Bjornsen. A w razie czego świst strzały nie obudzi sąsiadów.

Podobno sprowadzał ich osobiście mąż Marli.

Jasna sprawa, gdy jeszcze był wśród nas.

Einar Bjornsen, nieżyjący, lecz unoszący się w niebiesiech nad posiadłością niczym duch Banka, nigdy by nie dopuścił, żeby coś się stało jego ukochanej żonie.

– Zmordowałam się jak wściekła – mówi Marla. – Ale przynajmniej byłam w wiosce czarownic.

Marla w wiosce czarownic. No tak, całkiem pasuje.

– To chyba odpowiednie miejsce dla ciebie, co?

– Nie mogłam przepuścić takiej okazji. Akurat było wielkie święto, uczyty i ceremonie. Strasznie fajnie. Wprowadziła mnie taka jedna dziewczyna, sekretarka tamtejszego szefa. Spędziłam tam w sumie ze trzy dni. Tańczyłam w świetle ogniska, łowiłam ryby na świętą ofiarę i spałam pod gołym niebem. Zupełnie jak w skautach, Jack. Uwierzysz, że moją boginią podobno została Jemaya, Mammy Water? Przecież ja nawet nie umiem pływać.

– Tańczyłaś nago? Do diabła, dlaczego mnie tam nie było?

Pokazuje mi język.

– Tam są same kobiety, głupku. Wielka wspólnota sióstr.

Wspólnota sióstr? Nie, to za cholerę nie pasuje do Marli. Ona jest jak kot, który uznaje tylko własne drogi. Pokrętnie.

Marla murzyńską feministką w wielkiej rodzinie matek, babek i kuzynek? Odpada.

– Jak prędko miałaś dosyć? – pytam.

Wywraca oczy z udaną irytacją.

– No co ty? Magia, tajemnica, tradycyjne obrzędy. Ja bym miała mieć dość?

– Bez kibla, obżerana przez moskity, zagrożona przez każdego pająka? Wieczorem pierwszego dnia?

– Drugiego. Ale przetrwałam do końca święta.

– Nie zatrzymały cię siłą?

Znów potrząsa krótką brązową czupryną.

– Bały się.

– Podwoiłaś moc?

Uśmiecha się.

– Potroiłam. A tu mam tajemny znak. Już na zawsze. Widzisz?

Pokazuje środkowy palec prawej ręki. Tuż pod nieco tylko obgryzionym paznokciem widać krótką, brudną bliznę w kolorze dojrzałego bakłażana.

Wygląda trochę jak to, co robi czasem ze swoimi powiekami, kiedy próbuje namalować sobie kreski. Jednak jej żółte oczy zwierzęcia nie lubią kresek. Marla wygląda nieprzyjemnie obco w perfekcyjnym makijażu nałożonym przez wizażystkę. Kiedyś widziałem ją tuż przed telewizyjnym nagraniem, ubraną w obrzydliwie telewizyjny żakiet, z włosami uklepanymi obrzydliwie telewizyjnym żelem. Jej twarz przypominała maskę chińskiego demona, bo jakaś oszalała albo chora z zazdrości charakteryzatorka pociągnęła ciemne brwi Marli czarnym jak

zawiść tuszem. Marla próbowała potem zetrzeć choć trochę tego gęstego, profesjonalnego mroku poślinionym palcem, więc w efekcie przerodziła się w okropną halloweenową dynię z sinymi oczodołami.

Nie znośę oglądać Marli na wizji.

Wygląda martwo, jakby kamery rzeczywiście wysysały z niej duszę.

Wygląda jak nobliwa pani Bjornsen.

Jak wypchany kot albo sowa.

Coś, co ciotki lub babki z lubością usadziłyby na kanapie w salonie.

Wolę, kiedy zamaszystymi ruchami nakłada palcem cienie, niczym komandos płamy rozcinające.

Wolę, kiedy zachowuje się jak zwykła Marla.

Gapię się na nią, jakby była cudem odzyskaną z katastrofy walizką dolarów, a ona tymczasem opowiada o zakazach i nakazach obowiązujących w wiosce wiedźm.

Nie wolno rozplatać ani czesać włosów.

Nie wolno obcinać paznokci. Trzeba obgryzać i połykać.

Nie wolno robić zdjęć.

Nie wolno mieć przy sobie żadnych fotografii, swoich ani nikogo bliskiego.

Drugą kobietę trzeba koniecznie pozdrowić specjalnym chwytem za nadgarstek.

Mieć tę brudną bliznę na palcu.

Zabrać ze sobą ogromną ilość podarków. Bele kolorowej bawełny, *wrappery*, sandały w różnych rozmiarach, bransoletki i wisiorki, jedzenie, pieniądze, żywe kurczaki na ofiarę.

Siki i kupę zakopywać starannie jak kot.

– Dobrze, że nie połykać – śmieje się Marla.

Ja też się śmieję, kiedy wyobrażam sobie Marłę w chwili, gdy grzebie jak kot, ubrana w sukienkę w chińskie róże, ściskając pod pachą żywą kure.

– Aha! Nie wolno podawać prawdziwego imienia. Trzeba się przedstawić jako ktoś zupełnie inny, żeby czarownice nie miały nad tobą władzy.

Patrę w żółte oczy Marli, podbite fioletowymi plamami makijażu, jak u Mortycji Adams, wciąż nie bardzo mogąc uwierzyć, że naprawdę jest tutaj.

Marla jest tutaj.

Dokładnie taka sama jak zawsze.

Niezmienna niczym kontynenty, konstelacje i hamburger z McDonalda.

Przez chwilę myślę, że wszystko może obrócić się w czasie, cofnąć, przepłynąć pod prąd niczym słynna atrakcja turystyczna, magiczne wodorosty na rzece Kwai, niby łosie podążające na tarło, a potem pytam bez sensu:

– Jakie imię sobie wymyśliłaś?

Ściąga wargi. Leciutko, prawie niezauważalnie.

– Fabienne – mówi.

To już nie brzmi jak upadek dojrzałej śliwki. Płynie i płynie w powietrzu niczym długi, smukły nóż *navaho*, hiszpański nóż, ciśnięty ręką wytrawnego *navahero*, z gracją charakterystyczną dla stylu *gypsy*, drugi stopień szkolenia.

– Posłuchaj... – chcę powiedzieć, ale dalej nic nie ma, pustka, pustka suchego kosmosu Sahary.

Strasznie dużo piachu, który dzieli Marłę tutaj i Fabienne tam, w Europie.

Ta Sahara zasypuje mi gardło, zgrzyta między zwojami kory mózgowej.

Budzi panikę z tyłu, za tęczęwkami.

Niedobrze.

Wodorosty nie chcą płynąć pod prąd, łososie zdychają na brzegu, sfery niebieskie ani drgną.

Kompletnie nie wiem, co teraz powiedzieć.

– Przychodziłam do ciebie do szpitala – powiada Marla. – Siedziałam po parę godzin, ale podobno nie chciałeś mnie widzieć.

Chrrr, chrrr, charkocze zardzewiałe, zasypane piaskiem gardło i to by było na tyle. Kaszlę, ale nie pomaga.

– Posłuchaj – udaje mi się w końcu wykrztusić. – Miałem zwidy. Ześwirowałem gorzej niż Kapelusznik. Cały czas towarzyszyło mi widmo Jacques’a i te cholerne martwe dzieciaki. Co miałem zrobić? Zaprosić was wszystkich na herbatkę?

– No tak, rozumiem – kwitują wąskie, wąziutkie, czarno umalowane usta Marli.

Siedzę na białej zaspie kanapy, całkowicie pogrzebany w pyle.

Jestem mumią w piasku Sahary.

Nie mogę się nawet poruszyć.

A moje flaki pakują właśnie w kanopy.

– Dlaczego wróciłeś, Jack? – pytają ściągnięte wargi Marli, sędziego z Hadesu.

Naprawdę niewiele mogę zrobić. Nic. Właściwie nic.

Tylko otworzyć usta i pozwolić, żeby wysypała się prawda.

Parle ou, mon cheval!

– Wcale nie udało mi się pozbierać. Mimo leków, terapii, sanatoriów i całej reszty szajsu nie udało mi się pozbierać, Marla. Byłem i jestem trzęsącą się ze strachu kupą niezdrowej tkanki mózgowej. Szaleńcem. Świrem z urojeniami. Niedawno znów zacząłem widywać spalonego Jacques’a. Zrobiło się tak samo źle jak na początku, tuż po wypadku. Halucynacje, bezsenność, napady paniki. Nie chciałem znowu stać się wariatem. Postanowiłem, że muszę wrócić do Afryki, przełamać lęk, skonfrontować się z własnymi koszmarami. Rozumiesz, heroiczny czyn twardziela z psychologicznie pogłębianego filmu o złamanym reporterze wojennym, który wchodzi na drogę pokuty i odkupienia. Ale nic z tego. Gównu pomogło. Wróciłem i, do diabła, sam nie wiem. Zamiast się wyleczyć, zwariowałem do końca. Widuję *oriszę*. Gorzej. Czuję go w umyśle. Mam wrażenie, że prześladowuje mnie duch starożytnego

boga. To znaczy prześladował. Bo chyba przestał. Na razie. To cholernie trudno wyjaśnić. Ja wiem, jak to brzmi, i nic nie mów, na litość boską! Mieszka we mnie *orisza*. Czasami. Nie zawsze, oczywiście. Nawet nie mam pojęcia jaki. Raczej wojowniczy, tak sędzę. Jestem jak ci ludzie w trakcie obrzędów. Tancerze, w których wstępują bogowie. Tylko ja nie tańczę, Marla. Nie odprawiam jakichś pieprzonych rytuałów. Nawet nie wierzę w *oriszów*. Ale we własne zdrowe zmysły też już nie mogę wierzyć. No i tak to wygląda. Dobra, uciekłem, przyznaję. Wtedy, trzy lata temu. Jak cholerny tchórz. Za bardzo bałem się Afryki. Rzygałem ze strachu przed Afryką. Pieprzone trzy lata, aż do tej pory. Chciałem zacząć wszystko od nowa, odciąć się, zapomnieć. Ale nie udało się. Ciągłe coś się pieprzyło. Aż znów powrócił Jacques. A teraz, do kompletu, ten jakiś Gu czy Ge, zapomniany jak fenicki alfabet bożek Jorubów czy innych Fonów. To koniec, Marla. Tak wygląda prawda. I nie podoba mi się, przysięgam.

Marla milczy. Siedzi w fotelu, głęboko jak w rydwanie. U jej stóp, na puchatej murawie dywanu, śpią wszystkie trzy koty. Wygląda jak jakaś cholerna Freya, która zabłąkała się za daleko na południe, a teraz nie wie, którądy wracać.

– Wszystko jasne – mówi w końcu. – Jesteś po prostu opętany.

Po prostu opętany.

Pięknie.

Jak Emily Rose.

Jak Charles Manson.

Jak pieprzony Damian, dziecko-Szatan ze starego horroru „Omen”.

Dzięki za diagnozę, Marla.

Ale nie wiem, czy stary Max von Sydow jeszcze żyje, żeby odstawić egzorcyzmy.

Kiwam się nerwowo na kanapie. Tak bardzo chciałem z nią pogadać, popatrzeć w zwierzęco żółte oczy, wytłumaczyć, że mój strach, moje szaleństwo było zbyt ogromne, żeby wcześniej się z nią spotkać. Że to nadal jest cholernie trudne, przynajmniej dla mnie. Że potrzebuję wszystkich jej dziwactw, zakrętów, niepokojów. Że można, no chyba można, do cholery, popłynąć raz pod prąd, z powrotem, skoro potrafią to łososie i wodorosty na rzece Kwai.

Zamiast tego kiwam się na kanapie, czując, jak ogarnia mnie głupi gniew. Dziecinny gniew na jej niewzruszoną minę, zbyt chłodne źrenice, spokojne dłonie.

– Nic nie jest jasne! Marla, w Agege napadli mnie *borna boys*. Pięciu młodych, wściekłych facetów. A ja ich chyba zabiłem. Pozabijałem tych ludzi, Marla. Myślę, że tak właśnie było – wrzeszczę o wiele za głośno.

– A wiesz, mówią, że w Lagos zrobiło się teraz niespokojnie. Podobno giną turyści. Przepadła już jakaś Niemka, potem para brytyjskich studentów, Chorwat czy ktoś taki. Nie pamiętam. I to w przeciągu miesiąca czy dwóch. Dziwne, co?

– Rany, Marla! – krzyczę naprawdę wściekły. – Ja tu jestem niecały tydzień! Nie rób ze mnie jakiegos pieprzonego lagoskiego Kuby Rozpruwacza! Poważnie mówię, nie rozumiesz?

– Szkoda – mruży, bardziej do siebie niż do mnie. – Byłoby interesująco. Długo zostajesz? Pewnie tylko parę dni, bo spieszysz się na ślub...

Wierzyć mi się nie chce.

– Czyj ślub, do diabła?! – ryczę.

Uśmiecha się niewinnie.

– Twój, Jack. Z panną Fabienne Follier, asystentką Bena Grubbera. Aha, przy okazji, wszystkiego najlepszego.

Grenlandzka królowa chichocze w moich żyłach, po prostu zanosi się śmiechem. Słyszę, jak echo wali wewnątrz tętnic. Bum, bum, bum.

I tyle, zdaje się, z magicznych wodorostów na Kwai. Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi? I niegdysiejsza Marla. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa.

– Nie będzie żadnych ślubów – mówię. – Nie teraz, nie w stanie, w którym się znalazłem. Czy to naprawdę jest nagle takie ważne? Przecież ty sama posłałaś mnie kiedyś do diabła. Nie pamiętasz? Przez pamięć świętego pana Bjornsena. Einara Bjornsena, na wieki wieków, amen. Mam problem, Marla. Prawdziwy problem. Nie panuję nad sobą, nad swoim życiem. Frunę z prądem jak balon meteorologiczny. I czuję, że wkrótce rozlecę się z traskiem. Jak na razie tylko to mnie interesuje. Potrzebuję terapeuty, cudotwórcy, magika. Czegoś, co w końcu pozwoli mi zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Tonę, księżniczko. I muszę się jakoś ratować.

Ssie słomkę od drinka z zamyślonym wyrazem twarzy.

– No, to znaczy, że niezbędny ci dobry *babalawo*, Jack. Naprawdę dobry. I powiem ci coś. Nieźle trafiłeś, skarbie. Przyjdź jutro na lunch, to przedstawię ci komuś, kto może pomóc.

Ktoś, kto może pomóc, to Ifeoma. Kobieta o uderzająco pięknej twarzy hebanowej rzeźby. Smukła Ifeoma, córka bogini Oszun, *olorisza*, kapłanka *ifa*, prywatnie żona wyższego urzędnika z koncernu naftowego.

Marla mówi coś do mnie, a ja potrafię się tylko gapić na tę nigeryjską Wenus.

W oczy ciemniejsze, głębsze niż morze o zmroku.

Wydatne usta, które zaraz przemówią mądrością sprzed wieków.

Cudownie długą szyję, okręconą sznurem mosiężnych paciorków symbolizujących oddanie bogini.

Na nieprawdopodobne cycki, które nie oklapną nawet po dziewięciu kocich żywotach, piętnaściorgu dzieciaków i dziewięćdziesięciu latach znojnego życia.

Ifeoma Okoro.

Jej nazwisko płynie jak rwący nurt rzeki Oszun.

Szumi niczym obietnica.

Niespełniona obietnica, bo pani Okoro patrzy na mnie jak na coś, co jamnik wygrzebał na śmietniku.

Wyciągam dłoń na powitanie, a ona cofa się o krok, jakbym proponował, żeby pottrzymała przez chwilę rozdeptaną ropuchę.

Meduzę, zużyty kondom.

Wybite ludzkie zęby.

Psią kupę.

Coś w tym stylu.

Odzywa się melodyjnym głosem szmerzącej wody i potrząsa głową.

Usta o wykroju godnym flakonu do perfum Palomy Picasso wydymają się z lekką odrazą.

Chłodniejsze niż brązowe szkło, wypełnione potłuczonymi kawałkami słów.

Nie mówię w języku joruba.

Łapię tylko ostre, nieprzyjemne fragmenty.

Nie.

Nie.

Nie.

Zły.

Niebezpiecznie.

Za mocno.

Kłopoty.

Nie!

Czytelne znaki ostrzegawcze głębokiej niechęci.

Jestem pewien, że świetnie zna angielski, ale nie chce, żebym zrozumiał.

Chociaż ja i tak wiem, o co chodzi.

Wystarczy mi wyraz twarzy.

Nie pakuj się w bagno, siostrzo Marlo.

Odpuść sobie, młodsza koleżanko po fachu.

Wywieź tego faceta śmieciarką na wysypisko.

Posól ziemię, po której stapał.

Spal zdjęcia i wszystkie pamiątki.

On śmierdzi na kilometry gównem i problemami.

Niech przekleństwo spadnie na tę drugą, tę Fabienne od czarownic.

Miej rozum w głowie, siostrzo Marlo.

Posłuchaj, co życzliwie szemrze ci rzeka Oszun.

Marla ma dziwną minę, a ja stoję i słucham, jak płynie woda. Rwący, nerwowy, szeroki nurt świętego strumienia.

Nie.

Nie.

Nie.

Nie ten mężczyzna.

Tylko nie on.

Bywałem już pariasem.

Bywałem persona non grata.

Bywałem wrzodem na dupie.

Ale nigdy piękna kobieta nie reagowała na mnie aż tak gwałtownie.

W końcu Ifeoma Okoro kończy natchnioną przez Oszun perorę. Znów patrzy na mnie jak na wycieraczkę, na której kotka powiła ośmioro.

– *It's nothing personal, mister* – mówi przepraszająco.

Uśmiecha się, jakby to mogło złagodzić porażającą siłę jej niechęci.

– *Gu slave* – dodaje, zniżając głos.

Niewolnik Gu.

Ale ręki, oczywiście, nie podaje.

Jemy lunch we dwoje, z Marlą. Pani Okoro nie mogłaby przełknąć posiłku w towarzystwie czegoś takiego jak ja.

Jasne, *it's nothing personal*.

– Matko, Jack! – mówi Marla. – Ona jest przekonana, że pozostajesz pod wpływem potężnej czarnej magii. Boi się. Nawet wielka Oszun okazuje się tu bezradna. To męskie czary. Magia śmierci, wojny i krwi. Ten bóg, *orisza*, należy tak naprawdę do panteonu Fonów. Jest bardzo stary, bardzo potężny i bardzo zły. Podobno kiedyś składano mu ofiary z ludzi.

– To by się nawet zgadzało, co? – Wpycham tłustą krewetkę do majonezu.

Marla wydaje się trochę zmieszana.

– O rany, skarbie. Nie bierz sobie tego do serca. Ifeoma to cudowna i mądra kobieta, ale wierzy głęboko w ideologię *ifa*. Dla niej mroczne, bojowe męskie bóstwo, w dodatku pochodzące z kultury Fonów, to niemalże diabeł. Cholera, myślałam, że ci pomoże. Nie sądziłam, że dojdzie do takiej przykrewnej chryi. Nie wiem, dlaczego przypisała ci tego Gu...

– Święty dziadyga na bazarze też go we mnie zobaczył – przerywam.

Wzdycha głęboko.

– No dobrze, ciesz się, że to nie potwór z bagien.

– Chyba lepiej, żebym wrócił do Europy. – Pakuję krewetkę do ust.

– Jak uważasz – ucina Marla, ale wiem, że robi jej się przykro.

Rano nie mam nawet czasu przypomnieć sobie, jak się nazywam, gdy wściekle, natarczywie terkocze telefon.

– Jack! – wrzeszczy Marla, zanim daję radę wyartykułować „halo”. – Jack, jesteś tam?! Ifeoma jednak znalazła dla ciebie doskonałego *babalawo*. Masz się z nim spotkać jutro po południu. To sławny i święty człowiek. Wielki czarownik. Odprawi nad tobą rytuał wróżby wyroczni *ifa*. Jeśli wypadnie pomyślnie, zgadza się przeprowadzić kilka seansów uzdrawiających i zrobić specjalne ochronne *juju*. Słyszysz, Jack? Zaraz pozbędziesz się swojego potwora z bagien, zobaczysz. Jack, żyjesz? Rozumiesz?

Rozumiem.

Stoję ze słuchawką przy uchu, nie wiedząc, czy płakać, czy śmiać się, a w telefonie spadają kolejne dojrzałe śliwki.

Wciąż mam przed oczami twarz Ifeomy Okoro. Kobiety o porażającej urodzie i nazwisku jak płynąca rzeka.

Chyba powinienem jej nienawidzić.

Chyba powinienem być jej dozgonnie wdzięczny.

Bo tylko dzięki niej poznałem Liona Eze Ukuwu.

I spotkałem się ze swoim przeznaczeniem.

Dom *babalawo* stoi w dzielnicy Surulere. Rozległa twierdza z betonowych bloczków, okolona fosą rynsztoka. W piachu podwórza grzebią się kury, pod krzywym, wypsiałym bananowcem przylega w cieniu dorodna świnia.

A w powietrzu wibruje ostry, gęsty fetor.

Święty człowiek nie używa, zdaje się, choinek zapachowych rozsiewających aromaty tropikalnego lasu.

Chyba że to odświeżacz powietrza z serii „Smrody, które znamy i kochamy. Najnowszy hit, mix gówna i zgnilizny”.

Ifeoma załatwiła nam przewodnika. Ajiri, sympatyczny młodzieniec o posturze Lennoksa Louisa, jest wyraźnie przestraszony. Gnie byczy kark i stara się przemawiać ściszym głosem.

– *Consultant* jest bardzo zajęty, *mister*. Zgodził się z panem spotkać tylko dlatego, że zainteresował go pański przypadek. Ma pan szczęście, *mister*. *Consultant* to wielki człowiek.

Cholera, jakbym szedł się spotkać z dyrektorem banku.

Wykrochmalona koszula, nienaganne mankiety, spinki z brylantami i garniak od jakiegoś pieprzonego Versace.

Szanowny panie, zarżnięta w pańskim imieniu kura okazała się gwarantem niewystarczającym. Obawiam się, że będziemy musieli zastosować kozę, a to, niestety, podniesie koszt.

Ciekawe, czy ten doradca ma też sekretarkę?

Piękną, znudzoną laskę w *gele* i *wrapperze*, która odbiera telefony i umawia wizyty.

Sorry, *mister, consultant* nie może w tej chwili poświęcić panu czasu, gdyż właśnie pożera na surowo wątrobę ofiarnego koguta.

Mijamy betonowe ściany zamku czarownika i przedostajemy się na podwórze na tyłach. Na drewnianej belce nad wejściem wiszą liczne *juju*, z kości, skóry, piór i innych obrzydliwości.

Marla drepcze za mną, stukając obcasami.

– Rany! – wykrzykuje nagle. – Co to jest? „Smętarz dla zwierzaków”?

– Proszę, *madame!* – jęczy wystraszony bliźniak Lennoksa. – To święte przedmioty! Z tego będą potem potężne *juju!*

Na razie jest ogródek seryjnego mordercy zoofila. Takiego ze skłonnością do gromadzenia trofeów.

Klepisko dziedzińca wygląda, jakby rozbiła się tutaj Arka Noego.

Albo padła ofiarą napaści piratów.

Bezlitosnego abordażu, z rąbaniem kordelasami i strzałami z samopałów. Z wypruwaniem flaków i dekapitacją.

I wcale nie znamy słowa „litość”.

Aj, wuj! Katastrofa.

Zdaje się, że dobry Jahwe będzie musiał zrobić wszystkie stworzenia od początku.

W każdym razie w Afryce.

A więc:

Krokodyle.

Ich brudne szarawe łby oderwane od tułowi gapią się zapadłymi, wygniłymi oczami w jakiś nieprzyjemnie łzawy sposób. Zęby wystają z pysków jak protezy za słabo przymocowane Corega Tabs. Obok kurczą się w upale zdarte z grzbietów łuskowate skóry.

Małpy.

Całe sterty odciętych łbów suszą się, marszcząc, przybierając groteskowe miny, śmiejąc się w promieniach słońca do równie brutalnie zdekapitowanych psich łbów poukładanych obok.

– Witajcie, sąsiedzi, najlepsi przyjaciele człowieka. Co u was? Tak samo chujowo jak u nas, co? Ano, na spirytystyczne potrzeby panów stworzenia widać nie ma rady, koledzy – chichoczą bezgłośnie.

Antylopy.

Same głowy.

Melancholijne, zamyślane, z łezką w gnijących, wilgotnych oczach. Starają się nie spoglądać na żalosne nakrapiane, pręgowane płowe skórki, które kiedyś nosiły na sobie.

Bambi w rękach psychopaty.

Sam smutek.

Lwy i lamparty.

Pod absolutnie ścisłą ochroną.

Gniewne, wyszczerzone czachy, wciąż jeszcze z wyrazem niedowierzania na pyskach.

Żyrafa.

W formie skóry.

Groteskowo rozplaszczona, jakby poślizgnęła się na skórcie od banana. Plask! Wszyscy w śmiech. Jak w makabrycznej kreskówce Disneya.

Hej, wstawaj, niezdaro! Nie wygłupiaj się. Kochani, chyba mamy tu denata! Stara Betsy w końcu wyciągnęła kopyta. Na całą długość!

Sowy, sokoły, orły i inne latające tałatajstwo.

Niezdarnie, krzywo powypychane, jakby w pośpiechu. Przywodzą na myśl skecz Monty Pythona. Pamiętacie, ten z martwą papugą.

Niech no pan spojrzy, tamten sęp właśnie odwrócił głowę. Słowo daję. Żywy jak sam staruszek Osama.

Obok usadzonych rzędami wypchanych ptaków, przypominających nieudane Muppety, wiszą w pękach skórki mniejszych zwierząt i gadów.

I czaszki. W najróżniejszych formach i wymiarach. W pustych oczodołach mieszka prawda o wieczności.

Memento mori.

Nawet benedyktynów przeszedłby dreszcz.

– Jezu! Popatrz na to! – krzyczy Marla, niepomna nauk niedoszłego Louisa. – Dziś wyprzedaj. Wszystkie robale z kosza za jedynego dolca!

W podcieniach przy ścianie budynku stoją koszyki wypełnione zdechłymi owadami. Przeważają świerszcze i szarańcze, schludniutki jak chipsy. Leżą grzecznie ze złożonymi nóżkami, czekając, kto je przygarnie. W kolejnych koszach śpią suszone węże. Przypominają kawałki okrętowej liny.

Haj, ho! Roluj go!

Te już są zrolowane. Francuskie salami z gada, w różnych kolorach, do wyboru.

A z drugiej strony dziedzińca tej zwierzęcej hekatombie, temu holocaustowi afrykańskiej przyrody, przyglądają się obojętnym wzrokiem *orisze*.

Maski wiszą na kołkach, stoją rzędami, oparte o siebie, wiszą na ścianach budynków.

Świat sacrum i profanum.

Wieczność i śmierć.

Jakaś makabryczna metafora doczesnego życia i jego marności w obliczu bogów. Drewniani, kamienni i skórzani *orisze* są całkowicie odporni na działanie czasu. Nieśmiertelni, w przeciwieństwie do rozkładającej się biologicznej tkanki.

Otocza ich krąg magicznych akcesoriów. Sporządzone na konkretne okazje woreczki *juju*, wróżebne tarcze zwane *opon*, rzeźbione rytualne laski z drewna i metalu.

Symbole ich władzy nad światem.

Magiczny supermarket okropieństw.

Marla macha na mnie ręką, przywołuje, żebym obejrzał jakąś piętrową, skomplikowaną rzeźbę przedstawiającą figury ludzi i zwierząt stojących sobie na karkach, ale ja zatrzymuję się nagle przed czaszką lamparta.

I czuję, jak w dół kręgosłupa spływa mi zimny dreszcz.

Niby nic, zwykła kość. Dziury oczodołów, wyszczerzone zęby.

Nie wiem, czemu się zatrzymałem.

I czemu zamiast krwi mam płynny lód.

– A więc dokonał pan wyboru – odzywa się głęboki, miły głos za moimi plecami.

Odwracam się nieco zbyt nerwowo.

Starszy mężczyzna w kolorowym *bubu* patrzy na mnie życzliwie. Ma siwe włosy i przystojną, pogodną twarz Danny’ego Glovera.

Oto czarnoksiężnik z Oz, Dorotko.

– Nazywam się Lion Eze Ukuwu – mówi, podając mi rękę.

Przynajmniej dla niego nie jestem czymś, co jamnik wywłócił ze śmieci.

Hosanna!

Ściskam dużą, kościstą dłoń. Rękę księgowego, a nie czarownika.

– Zapewne pan Jack Wilczynsky? Miło mi. A to pani Bjornsen? Witam. – Skinienie głową w kierunku Marli.

Naprawdę zachowuje się jak prezes banku.

Cholernie dużego banku.

Uśmiecha się uprzejmie do naszego przewodnika, który ciężkim truchtem przemierza dziedziniec. Ale ostrożnie, jak pociągowy koń wpuszczony w sforę szczeniąt, wysoko podnosząc nogi, żeby nie rozdeptać żadnego niedoszłego *juju*.

– Dzień dobry, Ajiri.

Ajiri duka jakieś pozdrowienie. Wygląda, jakby miał się zaraz przewrócić na twarz i zacząć bić pokłony.

– Bardzo trafny wybór. – *Babalawo* pochyla się, żeby podnieść czaszkę lamparta. – Będzie z niej doskonale *juju*. Zwłaszcza dla pana.

– Właściwie wcale jej nie wybrałem – mówię uczciwie. – Po prostu zatrzymałem się, żeby na nią spojrzeć.

– Oczywiście – zgadza się Ukuwu i pokazuje w uśmiechu równe, białe zęby drapieżcy. – To ona wybrała pana, przyjacielu.

Kłęczę na glinianym klepisku i całuję monety. Przykładam do ust zimne krążki metalu, które piją ciepło mojej skóry.

Dwie ceramiczne czary ofiarne są czarne od skrzepłej krwi. Brunatne smugi znaczą także kilka pustych butelek po dżinie. *Orisze* lubią pić.

Lubią też się zabawić. Stąd małe bębenki i dzwonki, które przywołają ich na ucztę.

Wokół mnie, jak osobliwe kolibry, unoszą się w powietrzu małe miseczki, kłódki, buteleczki po dawno zgasłych lekarstwach, pęki piór i smutne czaszki małych zwierząt, zawieszane u powały na łańcuszkach i rzemieniach.

W ciemnym wnętrzu rytualnej chaty jest szaro od dymu. Kadzidła smażą się w metalowych misach, kopcą czarną sadzą.

Lion Eze Ukuwu, ubrany w strój z surowych skór, wylewa na ziemię odrobinę dżinu, mrużąc monotonnie i śpiewnie. Alkohol jest dla przodków, pieśń przyzywa *oriszów*, mamii obietnicą ofiar, krwi i popitki.

Mój *consultant* nie przypomina już prezesa banku ani emanującego pewnością siebie doktora z kliniki dla czubków. Przerodził się w starożytnego kapłana, świętego męża obcującego z bogami.

Nawet kretyński w innych okolicznościach krowi ogon, służący za magiczną różdżkę, przydaje mu tylko majestatu i autentyczności.

Jedno wiem na pewno.

Pan Ukuwu ma od cholery charyzmy.

I wie, jak jej używać.

Układam ogrzane moim oddechem monety na podłodze, a *babalawo* uświęca je po kolei, muskając chwostem krowiego ogona.

Oprócz nas w rytualnej chacie nie ma nikogo. Ukuwu stanowczo, choć grzecznie odmówił Marli udziału w ceremonii.

– Bogowie, pani Bjornsen, nie przybywają dla zabawy. Musi pani poskromić ciekawość. Przykro mi. To sprawa między *oriszami* i panem Wilczyńskym. Poważna sprawa, obawiam się.

Marla ma minę jak kot, któremu kazano zejść ze stołu zastawionego do kolacji. Uśmiecha się z wysiłkiem, jakby zardzewiały jej mięśnie twarzy.

– W porządku, poczekam.

Ściska mnie za rękę.

– Trzymaj się, Jack – mówi.

Chyba trochę się martwi. Ma w oczach ten nieprzyjemnie przenikliwy wyraz, ten kolor smutku i strachu, który zawsze się pojawia, gdy ktoś bliski dowiaduje się, że musi zrobić szczegółowe badania.

Och, to na pewno nic wielkiego. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Ton głosu można naoliwić, aż stanie się gładki, śliski i sprężysty, ale nigdy nie uda się ukryć tej szczególnej barwy tęczy, tego alarmowego światełka pulsującego z tyłu źrenic.

Oczywiście, jeśli naprawdę ci na kimś zależy.

– Daj spokój, Marla – mówię. – Umiem się zachować, naprawdę.

Zwilża wargi końcem języka.

– Tak. Oczywiście.

Kolejny zardzewiały uśmiech.

Rany, naprawdę się boi. Do diabła, chyba nie myśli, że dostanę korby skutkiem podrzucania orzeszków palmowych na drewnianej paterze. Może i jestem świrem, ale jeszcze nie klinicznym.

– To nie tomograf, aniele. Pan Ukuwu nie wykryje u mnie w środku niczego obrzydliwego.

– Tego nie jestem wcale pewna – mruczy Marla.

Babalawo robi ponaglący gest. Bóstwa nie lubią czekać.

Pochylam się do jej ucha.

– Czas odwiedzić Kukulandię – szepczę.

Nawet nie udaje, że się uśmiecha.

Bogowie przybyli. Wróżebne palmowe orzechy sypią się na ziemię. Jest cholernie duszno, kadzidła kopcą dymem, aż zaczyna mi się kręcić w głowie. Boli mnie poharatana ręka.

Królestwo i pół księżniczki za łyk świeżego powietrza.

Ukuwu ma na twarzy wyraz najwyższego skupienia. Rzeźbioną laseczką z hebanu zaznacza kreski na pokrytej gliną wewnętrzną powierzchnię tarczy *opon*.

Orisze przemawiają.

A ja nie czuję nic, żadnej tajemnej obecności, żadnego lamparta w umyśle.

Pocę się, klęcząc przed wróżebną tarczą.

I, oczywiście, czuję się jak kretyn.

Kochani bogowie, odpowiedzcie mi, proszę, co ja tu, do kurwy nędzy, robię?

Spokojne, schludne dłonie czarownika metodycznie przerzucają garść orzechów. I zawsze kilka spada na ziemię. W tej świętej przypadkowości jest metoda. Jeśli upadnie jeden lub dwa, *babalawo* znaczy kreską glinianą powierzchnię *opon*. Pozostałe wyniki go nie interesują.

Puk!

Leci jeden orzeszek.

Hebanowa laska robi bruzdy na tarczy. Dwie pionowe kreski.

Gdyby na ziemi znalazły się dwa orzechy, powstałaby pojedyncza bruzda.

Paradoksalna przewrotność świata nadprzyrodzonego. Wszystko musi być dziwnie i nieprzewidywalnie, bo *sacrum* straciłoby na tajemniczości.

Jezu, to kadzidło cuchnie jak palone włosy.

Kręcona czupryna mego kumpla Jacques'a, który powinien wyzierać na mnie z ciemności rytualnej chaty, ale widać ma coś pilniejszego do roboty.

Jestem sam w zadymionym, śmierdzącym pomieszczeniu, pełnym podobno bożej obecności, i nic nie porusza mojego zatwardziałego serca.

Jestem idiotą na kolanach przed innym idiotą.

Albo szarlatanem.

Raczej to drugie, bo przecież pan Ukuwu nie pomaga za darmo.

Daję sobie robić wodę z mózgu.

Przez bezsenność, przez omamy, przez Fabienne, przez gazetowe wnikliwe komentarze, przez Boba, tę smutną kretynkę Marłę i pieprzonego Josa van der Groose'a.

To wszystko ich wina. Oni mnie w to wpędzili.

Zaburzyli na amen moją wewnętrzną energię *chi*. Teraz krąży biedna pod prąd, utyka w ślepych uliczkach, zawraca od głowy do wątroby, albo jeszcze inaczej, popłakuje zgubiona gdzieś między grasicą i dwunastnicą.

Jestem labiryntem dla drżącej, wytraconej z równowagi energii *chi*.

A powinienem być autostradą.

Lecz tymczasem roboty drogowe i ograniczenia. Zmiana organizacji ruchu. Przepraszamy za utrudnienia na trasie.

Przepraszamy za wszystko i proszę nie mieć nam za złe.

No to cześć!

Dopiero po dłuższej chwili orientuję się, że chrzęst podrzucanych orzeszków ustał. Ukuwu patrzy na mnie z uwagą.

– Panie Wilczyński, pański martwy przyjaciel i młodzi wojownicy nie przestaną pana nawiedzać, jeśli nie oczyści pan swego umysłu i duszy ze wspomnień o ich śmierci. Pan jest silnym, odważnym mężczyzną. Myśl, że dzieci o mało pana nie zabiły, że miały pana całkowicie w swoich rękach, zdanego na ich łaskę, ciąży panu i zatruwa umysł. Nie zdołał pan uratować swoich przyjaciół, ponieśli śmierć lub zostali na zawsze okaleczeni przez istoty uważane w pańskiej kulturze za niewinne i słabe. Przyznaję, to bardzo ciężkie doświadczenie. Odcisnęło trwale piętno w pańskiej psychice. W pewien sposób wstrząsnęło pańskim poczuciem własnej wartości, zachwiało wiarę w męskość. Ale ja mogę pomóc panu przez to przejść. Pozbyć się lęku, otworzyć drogę pańskiej dawnej osobowości. Pan się chowa za maską człowieka wypalonego, pogodzonego z losem, a z drugiej strony to nowe, zwykłe życie wcale panu nie odpowiada. *Orisze* wyczuwają tę niepewność, ten konflikt. Staje się pan dla nich naczyniem, kanałem, którym mogą wnikać do naszego świata. Dlatego doznaje pan opętania. Pańska prawdziwa natura buntuje się, przejawia w postaci wojownika, a nie biernego obserwatora. Afryka obnaża pańską duszę i jej ukryte potrzeby. Dobrze się stało, że wreszcie znów zdecydował się pan tu przyjechać.

Milczę wstrząśnięty. Szczeka mi pewnie opadła jak łycha koparki.

Ukuwu siedzi na rzeźbionym w lamparty i słonie krześle, życzliwy, pewny siebie, wszechwiedzący.

Sympatyczny, dobiegający sześćdziesiątki, schludny Bóg o dłoniach księgowego.

– Skąd... skąd pan wie? – udaje mi się wykrztusić po dłuższym czasie. – Marla panu powiedziała?

Potrząsa głową.

– Ależ skąd. Nie miałem okazji poznać bliżej pani Bjornsen. Zaś pani Okoro, o ile wiem, wcale się nie orientuje w sytuacji.

Pochyla się ku mnie nisko, a ja mam idiotyczne wrażenie, że właśnie umarłem i zaraz usłyszę wyrok Sądu Ostatecznego.

– Nikt nie musiał mi o niczym mówić, panie Wilczynsky. – Uśmiecha się przyjaźnie. – Ja jestem po prostu naprawdę dobrym *babalawo*. A teraz proszę wziąć do ust łyk dżinu i splunąć na czaszkę, którą pan wybrał. Dzięki temu nawiąże pan magiczną łączność z przedmiotem, który pomoże panu uporać się z lękami i poczuciem winy.

Pluję terapeutycznie na żółtawą kość z łba niegdysiejszego lamparta, ale moje lęki wcale nie stają się mniejsze. Przeciwnie. W kolekcji pojawia się następny.

Przed tym dziwnym magicznym psychiatrą, który w kombinacji kresek wyrytych w świeżej glinie ogląda sobie moje życie, jakby było plikiem wideo.

Naprawdę dobry *babalawo* przesłał moje *juju* prosto do hotelu, przez posłańca Ajiriego. Kazał mi też przekazać, że wróżby wypadły pomyślnie i zgadza się przeprowadzić rytuał oczyszczający.

Obracam w dłoniach czaszkę drapieży, ozdobioną czerwoną i żółtą ochrą, karabinową łuską, paciorkami na drucie, zwęglonymi kawałkami drewna. Wygląda gorzej niż czerep cukrowego nieboszczyka z Meksyku. W oczodoły ma wmontowane jakieś obłe czarne otoczaki, więc patrzy na mnie kamiennym wzrokiem inkwizytora.

Sprzymierzyłeś się z diabłem, Wilczyński? Przyznaj się, zanim skarzesz na zatracenie nieśmiertelną duszę!

Rzecz w tym, że nie wiem, bracie lamparcie.

Naprawdę nie wiem.

– To nie będzie typowy rytuał oczyszczający – mówi Ukuwu. – Taki mógłby tylko panu zaszkodzić. Nie wezwałem tancerzy ani bębniaków. Potrzeba nam ciszy i skupienia. Pańska dusza łaknie równowagi, nie zgiełku. Gu to starożytny bóg, nieopanowana siła. Nie wolno nam zbytnio jej pobudzać.

A ja jestem niewolnikiem Gu. Podlegam jego władzy i kaprysom.

Tak mówił święty dziadyga na bazarze i *olorisza*, pani Okoro.

Tak zawyrokował samozwańczy psychiatra Ukuwu.

Tak postanowił bóg.

Siedzę na niskim zydlu i sam już nie wiem, czy rzeczywiście chcę cokolwiek pobudzać. W ustach czuję nieprzyjemny posmak leczniczego naparu, którym napoił mnie Eze. Ciągnął wygotowaną szmatą do podłogi i był paskudnie cierpki.

Chyba dałem się wkręcić w zbyt duże dla mnie szaleństwo.

Mam wilgotne dłonie i kłęb niepokoju wepchnięty w żołądek.

I za cholere nie wiem dlaczego.

Przecież to tylko magia, szarlataneria dla podatnych umysłów. Hokus-pokus czarnoksiężnika z Oz.

Ale między życiem a śmiercią, między nadprzyrodzonym i rzeczywistym światem, między statecznymi normami i szaleństwem jest tylko cienka czerwona linia.

Bardzo cienka i bardzo czerwona.

Kiedy tylko przymknę powieki, widzę, jak pulsuje ostrzegawczo.

I wyje rozgłośnym „pi! pi! pi!” alarmu.

Wilczyński, chłopie, źle z twoją banią. To mały krok dla ciebie, ale wielki dla twojego szaleństwa. Za cienką czerwoną linią rozciąga się Kukulandia. Jeśli przekroczysz granicę, zabiorą ci paszport i nigdy nie wydadzą powrotnej wizy.

Babalawo podsuwa mi miskę z wodą, pachnącą ziołami jak marynata do mięsa.

– Niech pan przemyje twarz i ręce – poleca.

Posłusznie chlapię się w misce.

Ukuwu odbiera ode mnie miskę, przynosi naczynie z białą gliną.

– To kolor zmarłych, znak żałoby – mówi. – Cudem uniknął pan śmierci. Teraz musi pan przeniknąć do dziedziny umarłych, żeby spotkać się z przyjacielem i jego zabójcami. Biel oznacza gotowość na rozmowę z duchami.

Nie jestem gotowy na rozmowę z duchami.

Najchętniej wstałbym i wyszedł.

Tymczasem na moich policzkach i czole czarownik rozsmarowuje wilgotne, chłodne pocałunki gliniastej mazi.

Zgodnie z jego poleceniem mam na sobie białe ubranie. Biały człowiek w białych spodniach i T-shircie, z twarzą i dłońmi umazanymi czymś, co przypomina pastę do zębów. Chodząca żałoba.

Żywa śmierć w stylu Joruba.

Pakunek przygotowany do wysłania kopniakiem w zaświaty.

Niech no tylko otworzą się śluzy.

A *babalawo* właśnie odmyka zamki.

Krąży wokół misy z kopącym kadzidłem, pod pachą ściska czarnego koguta. Ptak jest spokojny, skupiony, nie wyrywa się ani nie gdacze. W paciorkach ślepiów lśni determinacja.

On też za chwilę odwiedzi zaświaty. Tyle że na amen.

I zdaje się dobrze o tym wiedzieć.

Szszsz... mówi nóż czarownika.

Krew z przeciętej szyi koguta pada wprost na tłące się w misie substancje. Skwierczy, zmieniając nuty smrodu na bardziej organiczne, żelaziste.

Ukuwu tańczy, potrząsając truchłem ptaka jak osobliwa pokojówka z dziwaczną miotłką do kurzu.

Zydel jest niewygodny. Siedzę chwiejnie, głupio rozkraczony. Glinka na twarzy i dłoniach wysycha, ściągając nieprzyjemnie skórę.

Tym razem jestem idiotą pomalowanym pastą do zębów, kucającym przed idiotą tańczącym.

W końcu *babalawo* odkłada koguta i zbliża się do mnie tanecznym krokiem. Nareszcie, bo ten gliniasty lifting powoduje, że czuję się jak wąż w trakcie wylinki.

– Oto orzech ewo – mówi. – Klucz do krainy bogów. Przeżuj go dokładnie, a potem połknij. Nie wypłuj. Jest bardzo gorzki.

Faktycznie, usta wypełnia mi pałaca gorycz. Ale ten ohydny smak jest swojski. Przypomina potworną goryczkę młodych włoskich orzechów, zrywanych pokątnie z drzewa, żeby sąsiadka nie widziała. Młodzieńcze próby samouleczenia po niestrawności wywołanej jedzeniem równie niedojrzałych, kwaśnych jak diabli jabłek z sadu dziadka.

Żuję pokornie niczym krowa, choć cierpną mi szczęki i drętwieje język.

– To lalki zmarłych. – Ukuwu zdejmuje z ołtarzyka ustawionego w kącie kilka drewnianych figurek.

Jedna jest znacznie większa od pozostałych.

Witaj, Jacques, stary kumplu. Kopę lat.

– Masz przy sobie cokolwiek, co należało do twojego przyjaciela? – pyta *babalawo*.

Potrząsam głową.

Nie, nie przechowuję pamiątek po spalonych trupach.

– Nie szkodzi – kwituje Eze. – Więż i tak jest bardzo mocna.

Obmywa lalki ziołową wodą, przemawiając do nich cicho, niemal czule. Potem odstawia znów na ołtarzyk.

Milcząca drewniana publiczność spektaklu z białym głupkiem w roli głównej.

Przelykam orzech. Gorycz leje się wraz ze śliną do gardła i żołądka. Usta mam chyba sparaliżowane. Szczęki też.

Powoli ten paraliż płynie niżej, obejmuje ramiona, klatkę piersiową, brzuch, nogi. Chyba mógłbym się poruszyć, ale nie chcę. Jak w półśnie, kiedy niby jesteś przytomny, choć ciało leży bezwładnie, przypominając wałek z kanapy.

Tylko umysł mam dziwnie nieważki, lotny niczym wodór. Dryfuje swobodnie w czasie, stuka od spodu w kość ciemieniową, podobny do kurczaka, który niespiesznie wykluwa się z jaja.

Ukuwu siada na lamparcim tronie i zaczyna nucić monotonną, mrukliwą pieśń. Palcami wybija rytm na małym bębenku.

Tymczasem zydel, na którym siedzę, krzywi się, chwieje, wygina. Muszę trzymać się mocno siedzenia, żeby nie spaść i poszybować w odmętę.

Nagle – plum! Moja świadomość wyskakuje z głowy. Unosi się ponad nią wolnym, wesołym cumulusem.

Jestem chmurką pod niebem rytualnej chaty.

Obłokiem w spodniach, jak Majakowski.

Jestem drewnianą rzeźbą z dziurą na czubku głowy.

Zdecydowanie gotów negocjować ze zmarłymi.

Niespodziewanie pojawia się przede mną twarz Eze, wielka jak czarny księżyc.

– Jack – mówią podobne do krateru usta czarownika – musisz tam wrócić. Musisz wrócić do Liberii i przeżyć to wszystko jeszcze raz.

Cienka czerwona linia pęka z wibrującym brzękiem.

Pędzę w górę i w górę, pod prąd czasu, jak łosoś na tarło, jak słynne wodorosty na rzece Kwai.

Jestem kłębkim kosmicznej energii w drodze do swego najgorszego koszmaru.

Martwy ksiądz powinien nas natchnąć złowróżbnym przecuciem, podszeptać wibrującymi od much ustami, że czas wziąć dupę w troki. Leżący w poprzek drogi kapłan, w zadartej po pachy sutannie, ze smętną larwą penisa złożoną na podbrzuszu i czerwonymi krechami na udach i bokach, jest jednym wielkim czarnym wrzaskiem: „Zawracajcie, cholerni kretyni!”.

Ale nie w naszym fachu.

Dla nas martwi księża to praca.

Temat.

Nie przerażające ostrzeżenie.

Femi hamuje gwałtownie, piszczą sfatygowane klocki hamulcowe.

– Trzeba coś zrobić z tymi hamulcami, zanim grat rozkraczy nam się gdzieś w dżungli. – Jacques zeskakuje ciężko na ziemię.

Aparat obija się o jego biodro, drugi zwisa z szyi na parcianej taśmie. Trzeci, największy, z długą segmentową kryzą obiektywu, mój fotograf ściska przezornie w dłoni.

Jacques to Argus o tysiącu oczu.

Szklanych, krystalicznych, oprawnych w czarne szypułki obudowy.

Gotowych wypatrzeć ujęcie w splątanym gąszczu sawanny, w cieniu wilgotnego lasu, w brudnym miejskim zaułku.

Jacques jest przecież profesjonalistą. Podnosi aparat, szykuje się do strzału, krótkiego klik, które raz na zawsze odbierze zabitemu jego śmierć, jego prywatną, osobową tragedię, i

zrobi z tego sprawę federalną. Wyssie ją, utrwali i upubliczni. Dusza duchownego, miast ulecieć w błogosławiony zaświat, przylepi się na stałe do sztywnego kartonika fotografii.

Nowe wstrząsające zdjęcia z Afryki! Dziś mord dokonany na księdzu! Zobacz szczyty bestialstwa!

Coś w rodzaju Cyrku Barnuma.

Świeże okropności prosto z targanej wewnętrznymi konfliktami Liberii.

„Targanie wewnętrznymi konfliktami” i podobnie gładkie, sypiące się jak gumy z automatu sformułowania to ulubione hasła pismaków, którzy dostaną zdjęcia Jacques’a i moje relacje w swoje tłusciutkie, wyszorowane ręce.

A potem rozplakują pod własnymi nagłówkami. Głupimi jak każda sztampla.

C’est la vie, powiedziałby stary, dobry cynik Georges Arnaud.

Tyle że tutaj strach nie ma ceny. Jest taniutki jak umieranie.

Jacques składa się do zdjęcia, skupiony, czujny niczym myśliwy.

Klik! Klik! Klik!

Aparat chciwie wchłania duszę trupa, kawałek po kawałku.

Odarty ze wstydlivej, mrocznej tajemnicy śmierci kapłan rozdziawia paszczę poderżniętego gardła, jakby chciał głośno zaprotestować.

Wyłazę z dzipa i podchodzę bliżej. Mój kumpel krzywi się tak, że wygląda jak maskaron. Odgania mnie ręką, jakbym był muchą.

– Nie łaż tu, Jack! Spieprzysz mi światło.

Ignoruję go. Pochylam się, patrzę w wywrócone ku górze, brązowe niczym lak źrenice, jakby w ostatniej chwili trup chciał sprawić wrażenie, że kieruje myśli do nieba i deliberuje o rzeczach wzniosłych.

Chwalmy Pana!

Chociaż, prawdę rzekłszy, ostatnio chyba wcale nie zagląda do Liberii.

Piach i suche źdźbła trawy są powleczone brunatną glazurą krwi. Jeszcze lepkawą.

– Zginął zaledwie kilka godzin temu – mówię do Jacques’a.

Wzrusza ramionami.

– A ty co? Detektyw Marlowe? Nie panikuj. Przecież ten teren od jakichś dobrych dwóch kilometrów powinien kontrolować van der Groose.

– Jos to nie Bóg Wszechmogący. – Teraz ja wzruszam ramionami.

– Jemu, zdaje się, nie pomógł ani jeden, ani drugi – kwituje profesjonalista Jacques, wskazując resztki księdza ruchem podbródka. – Spadaj stąd. Ja pracuję.

– A ja pewnie tańczę cha-chę.

Odwracam się w stronę kierowcy.

Femi nadal siedzi w samochodzie, z nieco wystraszoną miną.

– Możesz go objechać? – pytam.

Potrząsa głową.

– Nie ma mowy. Musimy go ściągnąć z drogi.

Sutanna duchownego jest szmatą wymoczoną we krwi. Szkoda, że nie mam gumowych rękawiczek. Takich od „Gosi gosposi” albo innego „Nieodzownego Alfreda”.

Dziś nowość! Specjalne, schludne, łatwe w utrzymaniu, wielorazowe gumowe nakładki na dłonie, doskonałe do usuwania trupów z dróg w krajach targanych wewnętrznymi konfliktami. Hit sezonu!

Tu przebitka na dwóch facetów w wędkarskich kamizelkach, jeden z aparatem fotograficznym, deliberujących nad trupem w zaawansowanym stadium rozkładu.

Jacques recytuje: „Och, co my teraz zrobimy! Nie mamy przecież worka na zwłoki, ani nawet trumny! A do zakładu pogrzebowego wiele kilometrów!”

Teraz wkraczam ja: „Nie przejmuj się! Mam coś nowego! Zobacz!”

Tadam! Fanfary!

Wyciągam z kieszeni gumowe rękawice, które powinny wypchać ją jak tumor, ale są superściśliwe i superodporne.

– Spójrz! Przyjaciel polecił mi te wspañale, superściśliwe, superodporne, łatwe w utrzymaniu nakładki na dłonie „Nieodzownego Alfreda” specjalnie do krajów targanych wewnętrznymi konfliktami! Szast-prast i będzie po kłopotcie!

– Łał! – Jacques jęczy z zachwyty.

Wciągam triumfalnie rękawice.

– No dobrze, ale co ze mną? – dodaje zaraz ze smutkiem.

– Nie martw się! – to znowu ja. – W opakowaniu jest dodatkowa para!

Drugie tadam!

Potem śmiejemy się i z łatwością usuwamy księdza, który uśmiecha się poderżniętym gardłem, błogosławi nas i obdarza czarną aureolą swoich much.

Wyciemnienie. Koniec.

Następna reklama.

W rzeczywistości nie jest tak różowo. Jacques kończy sesję i wraz z Femim wlecemy bezwładnego modela na skraj drogi, niestety, bez cudownych rękawic.

I jakiegokolwiek gajcu do odkażania. Nawet dużej wody utlenionej. Cholera, nie umyję rąk, zanim nie dotrzemy do Josa. Robale zeżrą mnie żywcem.

– Jezu, waży tyle, co kamienne tablice. Znałeś go? – pyta Jacques.

– Nie. To nie jest owieczka z trzody Josa.

Księża rzadko korzystają z opieki van der Groosa. I nie chodzi tylko o to, że jest oszalałym rasistowskim kolonistą z hyzkiem na punkcie protestanckich wartości. Duchowni w Afryce to zazwyczaj twardzi faceci.

Z zasadami cięższymi niż ołów i trudniejszymi do skruszenia niż diament. A karabin, wszystko jedno w czyich rękach, jest ucieleśnieniem diabła. Samego Belzebuba z rogami, ogonem i cuchnącym siarką oddechem.

Jego Wysokość władca Piekła kałasznikow.

Kto mieczem wojuje i takie tam.

Jos ma pod swoimi skrzydłami kilka misji, ale ten rozkrzyżowany na piasku drogi biedak raczej nie należał do jego protegowanych.

A teraz wysoko nad chmurami i oparami sceptycyzmu pewnie ze zdziwieniem wymachuje świeżutką, dopiero co otrzymaną palmą męczeństwa.

Alleluja, bracie. Spoczywaj w pokoju, bo myślę, że dzielny był z ciebie człowiek.

Femi woła, że idzie na stronę. Jego czarna twarz przybiera niezdrowy, zielonkawy odcień, ale chyba nie będzie rzygał. Za długo z nami jeździ.

Wygrzebuję czubkiem buta dołek w pyle drogi.

Odruchowo.

Nerwowo trochę.

Nie do końca z powodu księdza. Widziałem w życiu mnóstwo trupów. Więcej niż przeciętny pracownik zakładu pogrzebowego. Może więcej niż koroner.

Więc nie do końca z powodu księdza.

To taki dziwny odruch. Jak chcecie, możecie go nazwać przecuciem.

Mimo upału robi się na moment zimno, rozpalona kula słońca przygasa, powietrze gęstnieje, tłumi dźwięki, a gdzieś daleko anioł depcze po moim grobie.

I prawie wiem, co za sekundę krzyknie Femi, blady niczym tynkowana ściana.

– Panie Wilczynsky! Panie Petin! Proszę tu przyjść! Szybko!

Ciężkim truchtem zmierzamy w krzaki. Podejrzenie buczące, wibrujące, gotujące się od radosnego terkotu owadów.

A tymczasem w marnym cieniu liberyjskich chabazjów kilka godzin temu oddziały szturmowe Aniołów Szału odbywały pewnie ćwiczenia przed Apokalipsą. Mały wstęp do operacji pod tytułem „Gehennah”. Jak prawidłowo wypełnić wawóz trupami pomordowanych.

„Guernica” Picassa może się ze wstydem wycofać za kulisy.

– Uff! – sapie Jacques.

Tuż koło czubków moich butów leży niemowlę. A raczej kawałek niemowlęcia. Drugi, zawierający główkę i bark z ramieniem, leży nieco dalej. Wcale nie wygląda jak popsuta lalka. Raczej jak porcja chabaniny w lagoskiej jatce.

W cieniu, tuż pod pniem tamaryndowca, czai się męska dłoń, odcięta tuż za nadgarstkiem. Przypomina ptasznika z przydługim odwłokiem, czatującego na zdobycz w kałuży rdzawej czerwieni.

Dalej to, co zostało z kobiety.

Ni to nowoczesna rzeźba, ni nieudany model anatomiczny.

W miejscach odkrojonych niezbornymi cięciami noża piersi zieją poszarpane, czerwone kraterki mięsa. Z otwartego brzucha wyłazą cuchnące liny wnętrzości. Tylko oczy patrzą obojętnie, czarno w wysokie niebo.

Może się wydawać, ktoś próbował przeprowadzić na niej nieudolną operację. Jakieś szalone, posrane dziecko wiedzione żądzą zgłębiania medycyny. Tylko że to nie pluszowy misio, którego mamusia potem, kwękając, zeszyje.

Nie misio, wiem o tym, ale nic nie czuję.

Jestem sztywny, odległy jak krzyż na Giewoncie.

Trupów jest więcej.

Dużo więcej.

Wypełniają przydrożny rów fetorem, krwią i rozpaczą.

Całymi litrami rozpaczy.

Walizka pełna tajemnic.

Cylinder pełen królików.

Kanałek pełen zamordowanych.

Wyglądają, jakby w popłochu szukali różnych części swoich ciał.

Bo wszędzie po krzakach, w rowie, na poboczu leżą, jeszcze nieposegregowane przez niedbałego anioła śmierci:

odcięte ręce,

odrabane nogi,

kadłuby bez kończyn, pozbawione genitaliów, owiązane fantazyjnie festonami jelit,

wyprute wnętrzości,

urżnięte piersi,

głowy odtoczone na bok, niczym wybite na aut piłki, dławiące się wepchanymi między wybite zęby jądrami, woreczkami mosznowymi, flaczkami smutnych, pomarszczonych penisów.

Pierwsza liga Afryki! Podanie wprost do bramki świętego Piotra.

Będą dziś musieli rozdać wiele palm męczeńskich, a w każdym razie białych gizełek i aureolek.

Nowi lokatorzy przybędą do Raju w zaskakująco ekspresowym tempie.

A tymczasem dolinka przywodzi na myśl magazyn manekinów rodem z diabłego butiku przy głównej ulicy w ścisłym centrum Piekieł.

Do wyboru. Dzieci, kobiety, starcy, nastolatki. Tylko szaleć.

Niektóre są poprzecinane nierówną, przypadkową perforacją karabinowych strzałów. Inne mają nieregularne, wybite bagnetami dziury, jak naczynia do ikebany. Większość pocięto nożami lub pangą, tutejszą odmianą maczety.

Służącą do karczowania buszu, ścinki trzciny cukrowej i mordowania ludności cywilnej.

Liberyjska masakra piłą niemechaniczną.

Wszystko razem przypomina kompozycję psychopatycznego artysty, który ze zdrowymi zmysłami rozstał się już we wczesnym dzieciństwie.

Ten stuknięty Niemiec od rzeźb z oskórowanych trupów byłby zachwycony.

Obaj mogliby się serdecznie uścisnąć.

Wreszcie sztuka dogoniła życie.

Młodzi i starzy mężczyźni obejmują się kikutami rąk. Pająki odrąbanych dłoni przylegają w trawie lub zmartwiałe leżą palcami do góry, jakby się opalały.

Prastare klanowe trofeum.

Prawica wroga.

Już jej nie wzniesie do buntu.

I o to chodzi.

Przecież rząd ciągle powtarza, żeby obywatele brali sprawy w swoje ręce, mówią ze śmiechem warlordowie.

Piękna dziewczyna, podżgana raz przy razie ciosami długiego noża, patrzy na mnie wilgotnymi, martwymi oczami sarny. Z lekko, zalotnie rozchylonych ust wyłazi tłusta mucha.

Krew zamienia pylistą ziemię w brunatne błoto.

Za moimi plecami słycać bełkotliwe chrząknięcia, jakby lew próbował ryczeć i czekać jednocześnie.

To Femi rzyga.

Klik, klik, mówi aparat.

To Jacques fotografuje.

Pulitzera nie dostanie, ale i tak warto.

W końcu po to się zostaje profesjonalistą.

Stoję i patrzę, składając masakrę z rozsypanych puzzli trupów.

Jestem chłodny i ściśnięty jak pośladki srającego pod wiatr.

Jestem w pracy.

Jestem zajęty.

Nie wstrząśnięty.

Na kontrolowany, stłumiony szok czas przyjdzie później.

Na chłanie, seks, na drżące ręce, na oszałamiający smak każdego łyku wody, każdego soczystego owocu.

Ja żyję.

Oni nie.

Ja żyję.

Ale potem będę świętował ten cichy, zdumiewający cud.

Teraz pracuję.

Nie ma sposobu, żeby oswoić się ze śmiercią. Można się tylko opatrzeć.

Gapisz się, gapisz, gapisz na trupy, na zmarłych, na pomordowanych, na straconych okrutnym sposobem, na konających z głodu i chorób.

Aż w końcu wszystko przesłania filtr.

Jestem w pracy.

Pracuję.

Robię swoje.

Przykładam się do obowiązków.

Wypełniam swoje zadanie wobec pracodawcy.

Ludzkości.

Sumienia.

Niepotrzebne skreślić.

Najgorzej jest na początku. Potem można przywyknąć.

Okrzepnąć.

Tu nie rozdają książeczek z prostymi kolorowymi obrazkami i linijkami do wpisywania odpowiedzi na pytania.

„Moja pierwsza masakra”. Zeszyt ćwiczeń dla reporterów wojennych. Klasa I-III. Poziom średnio zaawansowany.

Szkoda. Przydałyby się.

Nawet dzisiaj.

Femi obciera usta rękawem koszuli.

– Panie Wilczynsky – szepcze błagalnie. – Chyba już powinniśmy jechać...

Oczy ma mroczne od lęku.

Zgadzam się skinieniem głowy.

– Jacques! – krzyczę. – Zbierajmy się stąd. Coś mi się zdaje, że tu jest mniej więcej tak bezpiecznie jak w Czarnobylu.

– Zaraz – mówi mój w pełni profesjonalny kumpel, ale widzę, że wykręca już czarną szypułkę obiektywu.

Gramolimy się do dżipa, Femi odpala silnik.

I mogę się założyć, że wszyscy myślimy o gościnnych, bezpiecznych, szeroko rozwartych ramionach Josa van der Groose’a tak, jak myśli się o ojcowskim uścisku Boga Wszchemogącego.

Kiedy świat się przewrócił, byliśmy pewnie z osiem kilometrów od obozowiska Josa.

Busz. Pylista droga. Na rękach wspomnienie o niedawno zgasłym męczenniku. Cisza. Tylko silnik hałasuje miarowym mechanicznym terkotem.

Chyba chciałem coś powiedzieć do Femiego.

Coś o tym, że słyszę jakieś dźwięki nieprzyjemnie przypominające strzały z broni palnej.

Ale to ziemia się odezwała.

Bum! – wrzasnęła nam prosto w pyski i wywróciła radosne salto.

Nie powinna tak zrobić.

Nie powinna tak zrobić.

Nie powinna żartować w ten sposób.

To bardzo nieodpowiedzialne.

Głupie.

Niewłaściwe, myślę.

I niczym innym nie potrafię się na razie zająć.

Bardzo niewłaściwe. Jak mogła?

Tymczasem ziemia milczy. Może ma już dość gimnastyki. Mam nadzieję.

Leżę.

Mniej więcej pod samochodem.

W ustach mam pełno piachu.

I coś kleistego, o smaku żelaza.

Z odległej, galaktycznej głębi słyhać tajemnicze odgłosy. To wyją Wielcy Przedwieczni. Potwory z lodowych, zasnutych mgłą wiekuistego szronu planet. Zawodzą z bólu i rozpaczy, bo przejście okazało się za małe i nie mogą przeniknąć do naszego wymiaru.

Chcę zamrużyć, odezwać się, sprawdzić, czy w ogóle żyję, i nieopatrznie napinam mięśnie karku. W głowie też mam pełno piasku. Przesypuje się z suchym klekotem.

Niedobrze. Chyba nie powinienem się poruszać. To głupi pomysł.

– Jacques? Femi? – chrobocze coś cichutko, dychawicznie gdzieś pode mną.

W sposób bardzo podspodni.

Jak Prosiaczek, na którym usiadł Puchatek.

– Femi? Jacques?

Ale to nie Prosiaczek, tylko, prawdopodobnie, ja.

It's hard to say it, I have to say it, but it's probably me.

Próbuję się trochę odwrócić. Tylko trochę, żeby przypadkiem nie przesadzić. Piasek gotów się wysypać i moja pusta głowa poszybowałaby w górę, jak zeppelin. Nie mogę sobie pozwolić na taką stratę.

Jacques leży obok i nie bardzo się rusza.

I wcale nie Przedwieczni tak wyją, tylko Femi.

Nogi ma przygniecione tym, co przed chwilą było jeszcze dżipem, w rozszerzonych, rozbieganych oczach widzę wydestylowane, czyściutkie przerażenie.

Niepotrzebnie, przyjacielu. Niepotrzebnie.

Bo obok niego, och, cudowny świecie, krążą smukłe, drobne czarne anioły. Pomocne istoty wyrzeźbione z hebanu i najszlachetniejszej odmiany altruizmu. Starają się unieść nieco wrak, wyciągnąć uwięzionego Femięgo.

A tymczasem młodzieńcze, promienne twarze zaglądnę pod przewróconą skorupę dzipa, dostrzegają Jacques'a i mnie, błyskają w uśmiechu śnieżnobiałymi zębami.

Próbuję wypchnąć to coś kleistego z ust i zawołać do nich „Hosanna!”.

Rozumiem już, co się stało. Nasz samochód najechał na minę. Siła wybuchu wyrzuciła go z drogi, wpadliśmy do rowu. Oddziałek milicji Josa, który był w pobliżu, usłyszał eksplozję i natychmiast pospieszył na pomoc.

Dzięki ci, Panie. Dzięki, van der Groose, jakimkolwiek szaleńcem byś był.

Z tyłu, po mojej lewej, Jacques pojękuje cicho, mruga powiekami.

Nie przejmuj się, bracie. Jesteśmy uratowani. Jesteśmy ura...

Czarne dłonie sięgają w głąb karoserii i powypadkowego szoku, łapią mnie za ubranie, ramiona, ciągną zawzięcie. Tymczasem moja lewa ręka wygina się pod nieprawdopodobnym kątem, krzywi w nieistniejącym stawie, jakby chciała zostać w cuchnącej ropą ciemności pod wrakiem.

– Auuuu! – wrzeszczę. – Auuuu, ostrożnie! Mam chyba złamaną rękę!

Ale pomocne dłonie nie puszczej, nie wycofują się z troską, tylko szarpia jeszcze zaciekłej. Chru, mówi z dezaprobatą moje ramię. Chyba chce mnie opuścić. Chyba chciałoby się urwać.

– Jezu!!!! – ryczę na całe gardło, bo nagle przychodzi mi do głowy, że boska opieka bardzo by się przydała.

Jezuuuu! Wcale nie wzywam Cię nadaremno! Wcale nie! Przyjdź i powiedz im, żeby przestali! Zejdź z Nieba, czy gdzie tam teraz jesteś, i przyprowadź Josa! Pomocy! Jezu, rób, co mówię, błagam!

Bo to nie bojówki van der Groose'a.

To nie bojówki van der Groose'a i wiem o tym na pewno.

Jacques też już wie.

I krzyczy nie gorzej niż ja.

To teraz tercet. Bardzo egzotyczny.

Znane duo Jack & Jacques plus Femi na gościnnych występach.

Chru, chru, nie ustaje protestować moja lewa ręka.

Lewa udreka.

Bolesna męka.

Koszmar gorszy niż u najstraszniejszego dentysty, kręgarza, nastawiacza kości.

Bohaterka wstrząsającego filmu bez Daniela Day-Lewisa. „Jak skutecznie urwać ramię.”

Ostatnie chru i jestem pod białym słońcem liberyjskiego pustkowia. A z rozdartego rękawa koszuli khaki ciekawsko wystaje ostry odłamek gnata.

Mojego gnata.

Osobistej, prywatnej kości, zwykle ukrytej bezpiecznie w zaciszu mięśni i skóry.

Suchy piach drogi chłepcze krew jak spragniony pies.

Prywatną krew.

Własną krew.

Moją, na boską litość!

Mdło mi się robi. I słabo. Do gardła szturmuję gorycz z żołądka, życzy sobie gwałtownie opuścić lokal. Kaszlę i pluję palącym kwasem.

Jak pieprzony pasażer Nostromo.

Ale na nikim nie robię wrażenia.

Czarne anioły pochylają się nade mną, jeden kopie w okolicę sterczącego gnata.

Ogromne, niewyobrażalne Bum!

Fontanny białego światła, huk eksplozji i żelazista czerwień.

A więc tak wyglądał słynny Big Bang! W ten sposób powstał wszechświat!

Albo się skończył.

Coś wydaje okropny, niemożliwy do zniesienia, zwierzęcy pisk. Prawdopodobnie ja.

Tak właśnie sędzę.

Że to ja.

Ale nie. Ja tylko skowyczę cichutko przez knebel piachu i krwi. To znowu Femi. Femi, którego inne czarne anioły wloką w stronę pobocza. Nogi Femiego ciągną się jak rozdeptany ogon ryby. Galaretowate, miękkie od kolan w dół. Stopy wykręcone na boki. Groteskowo, jak u Charliego Chaplina.

Murzyński Charlie w opałach. Zaraz spuszcza mu łomot, a on będzie uciekać, gubiąc spodnie i przewracając rusztowania.

Śmieszne, aż chce się płakać.

Ja chyba już płaczę.

Z powodu nagłych odwiedzin mojej kości promieniowej, z powodu Big Bangu w ramieniu, ze zwykłego ordynarnego strachu.

Czarne anioły podnoszą Femiego do pionu, próbują przywiązać drutem do pobliskiego drzewa. Mimo że wrzeszczy strasznie i co chwila się przewraca, po ich twarzach widać, że to żmudny, choć radosny trud. Są skupione, ale rozentuzjasmowane.

Emocje aż się w nich gotują. Chichoczą z podniecenia i radości. Chętnie puściłyby niewygodny ciężar i pobrykały chwilę w kółko jak rozbawione psy. Ale obowiązek wzywa. Zadanie przede wszystkim. Od czego się jest prawdziwym bojownikiem słusznej sprawy.

Są bose albo ubrane w rozdeptane trampki. Mają na sobie brudne, poszarpane koszulki z nadrukami piłkarskich klubów albo koszule rodem z najdziwniejszych armii. W ogóle sprawiają wrażenie, jakby obrabowały demobil. Noszą jakieś kretyńskie berety, wojskowe spodnie z podwiniętymi nogawkami, workowate sorty, tak sprane, że nie wiadomo, jakim jednostkom służyły. Ściskają się szerokimi skórzanymi pasami, za którymi sterczą noże, pangi, pałki, scyzoryki i kawałki krowich łańcuchów. Każdy, nawet malce wyglądające jak

przedszkolaki wloką ze sobą karabiny. Najczęściej kałasznikowy, ale widzę też porządnymyśliwski sztucer i starą dwururkę, okręconą srebrzystą wstęgą taśmy klejącej.

I mnóstwo ich.

Cała klasa, albo nawet dwie. Zawartość przynajmniej jednej szkółki parafialnej podczas odlotowych wagarów na froncie wojny domowej. Kręcą się koło wraków, na poboczu, w krzakach, aż ćmi się w oczach od tej zbieraniny.

Wyglądają jak drużyna Piotrusia Pana na gigancie z Nibylandii.

Są nawalone bardziej niż Kurt Cobain w chwili przeprowadzki do Nieba.

I żaden nie przekroczył chyba piętnastego roku życia.

Może sam Piotruś Pan. Dumny posiadacz kałasznikowa, ubrany w bejsbolówkę, amerykańską bluzę mundurową i postrzępione tenisówki.

Pan i władca naszego małego Armagedonu.

Wydaje komendy, wskazując wszechwładnym palcem naszego półnogiego kierowcę, zamienionego w Charliego trytona, Charliego z rozdeptanym rybim ogonem, Charliego Bo Zaraz Umrę Ze Śmiechu.

Czarne anioły mocują go wreszcie do niskiego, pokręconego drzewka, jakby był wyjątkowo brzydkim Mikołajem, jednak koniecznym na szczycie choinki. A potem zabierają się do Jacques'a.

Nie rusza się. Pewnie podczas wywlekania spod dżipa przezornie stracił przytomność.

Mnie też do tego niedaleko. Leżę, krwawiąc na piasek, i nic, zupełnie nic nie mogę zrobić.

W mojej głowie mieszka rój dzikich pszczół, a ja właśnie odjeżdżam w głąb Stumilowego Lasu. W cichą, pachnącą żywicą ciemność, gdzie mieszkają wszyscy krewni i znajomi Królika.

To nie jest, niestety, długa wizyta.

Szast-prast, dwa razy w mordę i wracam do świata czarnych aniołów. Puciołowaty chłopiec z figlarną miną pochyla się nade mną, wyraźnie niezadowolony.

Mało brakuje, żeby pogroził mi palcem. Nie wolno mdleć podczas takiej dobrej zabawy.

Jasne, gdzieżbym śmiał.

Kiedy elektrownia znowu włącza światło, Jacques jest już przymocowany do pnia obok Femiego. Wokół, niby dziwne czułki, sterczą kawałki kolczastego drutu. Głowa mu opada jak u martwej kury voodoo. Włosy ma całe czerwone, strugi tego szkarłatu płyną po twarzy, karku, piersi, przemieniają mego kumpla w Indianina przy palu męczarni. Nie śpiewa jednak pieśni śmierci, nie urąga wrogom ani nie recytuje listy zasłużonych przodków. W ogóle mało ekspresyjnie się zachowuje. Ale żyje, obawiam się.

Teraz pewnie kolej na mnie.

Kolej na mnie, a ja umiem się tylko zastanawiać, jak się nazywają te cholerne drzewa. To nie są tamaryndowce ani żadne pieprzone palmy. Może rokitniki. Czy w Liberii rosną rokitniki? I jak właściwie, u diabła, wyglądają?

Bardzo mnie zaprzęta ta kwestia. Tymczasem drużyna Piotrusia Pana zgodnie z przewidywaniami zabiera się właśnie do Kapitana Haka. Kapitana Gnata, ze szpadą kości ukrytą podstępnie w rękawie.

Kapitana Rozdzierający Wrzask.

Chyba powinni od niego umrzeć. Paść powaleni siłą uderzeniową tego krzyku. Albo ja powinienem.

Ale, oczywiście, nic takiego się nie zdarza.

Próbuję iść, bo jak włoką, jest gorzej, o wiele straszniej, niewyobrażalnie gorzej z ramieniem, lecz nogi mi się płaczą.

Na mnie przypada drzewo po lewicy Femiego.

Rokitnik? Tamaryndowiec? Chlebowiec? Nigdy nie byłem dobry z botaniki.

Troczą mnie drutem kolczastym do chropawego pnia, przewijają pod pachami, wykręcają do tyłu ręce.

Na chwilę znów wciela się we mnie Kapitan Kolejny Potworny Wrzask.

A potem nachodzi nagle olśnienie, wspaniałe, cudowne, rozpaczliwie smutne odkrycie. Gdybym wiedział, przypomniał sobie, jak się nazywają te drzewa, byłbym uratowany.

Przybyłyby kawaleria.

Przyplęły galeony Horacio Nelsona.

Bóg Wszechmogący zstąpiłby z Białego Tronu i ukarał grzeszników.

Ruscy spuściliby rakiety nuklearne.

Amerykanie samonaprowadzające, działające tylko na młodocianych czarnych partyzantów.

Czas zwinąłby się z powrotem jak automatyczna taśma calowa ze sprężynką i teraz właśnie witalibyśmy się z Josem.

Coś by się stało. Cokolwiek. Cokolwiek wspaniałego, niemożliwego, oznaczającego ratunek. Hollywoodzki cud happy endu.

Ale rozum wie, że potwory, które raz się obudziły, łatwo nie zasypiają.

Tymczasem chude, okrągłolice, naćpane jakimś miejscowym kompotem szczeniaki podziwiają swoje dzieło. Tę osobliwą, krzywą pasyjkę. Kicz ze sklepu z dewocjonaliami. Dwóch białych łotrów i czarnego zdrajcę pośrodku. Podobną do obrzydliwych, tandetnych figurek z jakiegoś gajcu, który świeci w ciemności i zmienia kolory na deszcz czy spadek ciśnienia.

Jacques już zmienił barwę. Na czerwoną.

Femi także. Jest popielaty jak brudny tynk.

A ja z pewnością świecę w ciemności.

Świecę skondensowanym, fosforycznym seledynem strachu.

Moja ręka, moja okropna, nieszczęsna ręka wysyła w świat nieustanne SOS bólu. „Mayday! Mayday! Mayday!” – wydziera się do mózgu pulsującym wraz z rytmem tętna alfabetem Morse’a. Drut kolczasty wrzyna mi się w pierś, w pachy, w nadgarstki, dźga skórę uporczywym naporem kolców. Jestem okręcony opłotami drutu niczym Frankenstein tuż przed pieprznięciem pioruna.

A nasza meteorologiczna pasyjka zapowiada nadejście wielkiego sztormu. Z grzmotami i gradobiciem. Z kulami karabinowymi i rzeką krwi. Z kostuchą ciągnącą na czele burzy.

Piotruś Pan z kałaszem podchodzi blisko, mierzy nas chłodnym, władczym wzrokiem doświadczonego dowódcy. Zadaje jakieś pytanie w języku, z którego nie rozumiem żadnego cholernego słowa.

Za to Femi otwiera usta i zaczyna jękliwą, prędką przemowę.

Capo di tutti capi nie jest zadowolony. Marszczy z dezaprobatą nos. Wydaje krótki rozkaz.

Jeden z małolatów wyciąga zza pasa groteskowo ogromny nóż. Femi piszczy ze strachu jak prosiak u wrót rzeźni, próbuje coś tłumaczyć.

Mały wspina się na palce. Femi ryczy już teraz niczym wodny bawół walczący z tygrysem i powoli, podobnie jak Jacques, zaczyna zmieniać kolor na czerwony. Chłopcy chichoczą, trącają się łokciami, jakby oglądali wyjątkowo fajny numer w cyrku.

Czarny Piotruś wali najbliższego na odlew kolbą automatu, wypluwa z wściekłością komendę. Cicho ma być. To poważna wojskowa operacja.

Skarcony przewraca się na ziemię, wpija palce we włosy. Krzyk Femiego zagłusza jego popiskiwanie.

– Ja pierdołę, ja pierdołę, ja pierdołę...

To Jacques. Ocknął się i teraz nadaje monotonna gdzieś w pustkę kosmicznego eteru. Po francusku. W ojczystym języku. Jak patriotycznie.

Mały z nożem odrywa się wreszcie od wyjącego Femiego, triumfalnie rzuca pod nogi dowódcy odcięte ucho.

To trochę za wiele dla Jacques’a.

– Matko Boska! Pieprzeni sadyści! Ześwirowane ćpuny! Zabiję was! Zabiję was! Zajebię was na śmierć, świry! Skurwiele! Już jesteście martwi! – wrzeszczy, a oczy wyłażą mu z orbit.

Ucho leżące na piachu jak osobliwa małża to za dużo także dla mnie. Odjeżdżam.

To się nie dzieje naprawdę. To, oczywiście, nie może się naprawdę dzieć. Dobry Bóg na to nie pozwoli. I ONZ. I Konwencja Genewska. I przyjaźni obcy z kosmosu. To tylko koszmar. Zły sen, kochanie.

W rzeczywistości jestem teraz w Perouges z dziewczyną imieniem Monique. Niebo ma kolor jej letniej sukienki. A może na odwrót. Przechadzamy się cichymi uliczkami tego

uroczego miasteczka, Monique zgrabnie jak młoda łania skacze po kocich łbach bruku. Podziwiamy klasztorny ogród, maleńki jak puzderko pełne drobnych klejnotów kwiatków. Zaraz usiądziemy w kawiarni, pod parasolem, w cieniu kamiennych średniowiecznych murów. Kupię nam drinki, odpoczniemy od upału, smrodu i wrzasku.

Tego irytującego, cholernego krzyku.

I ostrego odoru potu i krwi.

Oczy mam zamknięte. Myślę o tamtym weekendzie z Monique. Nie o krwi. Nie o strachu. Nie o bólu. Zapominam o takich słowach.

Nie istnieją. Wymazane ze słownika. Na zawsze.

Zapominam o gnacie wyłazającym z rękawa. O tak, o nim zapominam w pierwszej kolejności. Ale ten gnat jest uparty. Przebija się przez świadomość rozpaloną igłą, rozrasta, rozpycha do wymiarów żelaza do piętnowania bydła. Słoni. Mastodontów. I dalej się rozkręca. Coraz uporczywiej chce się stać zapaloną gromnicą ze swoim „memento mori”, ogniskiem płonącym na polanie, całym cholernym pożarem lasu, wybuchem promu Columbia, przegrzanym reaktorem, nuklearną katastrofą, kolapsem wszechświata.

I bardzo trudno o nim zapomnieć.

Zwłaszcza że Jacques przestaje nagle kłąć i wydaje stłumione, zaskoczone „uff”. A potem zawodzi dziwnie, jakby próbował śpiewać.

Coś sterczy z jego brzucha. Trzonek. Rękojeść. Uchwyt. Coś wniknęło w Jacques’a i teraz rozpycha się w żołądku, penetruje śledzionę, przenika przez trzustkę, czy co tam właściwie jest.

W środku Jacques’a.

Piotruś Pan kiwa z aprobatą głową. Wtedy mały chłopczyk z wełnistymi włoskami i szczerbą między zębami wyciąga chudą łapkę i ciągnie za to, co wystaje z mojego kumpla.

– Aaaaaaa! – charczy Jacques.

Siiiup, młascze bagnet.

Jezu, wsadzili mu w bebechy bagnet od kałasznikowa!

– Wy pieprzone małe chujki, wy zaszrane gnoje! Skurwiele! Skuuurwieleeee! Jezuuuu!

To ja się tak drę. Naprawdę.

Jestem daleko, na końcu brukowanej kocimi łbami drogi, i bardzo się temu dziwię.

Zapluwam się, szarpiąc w uściskach kolczastego drutu, rozdieram skórę na piersi i przegubach dłoni. Obok zwisa Femi, bezuchy czarny święty otoczony nimbem drucianych promieni, nieprzytomny lub martwy. Jacques wydaje kaszłące odgłosy, jakby chciał udawać śmiejącą się hienę.

Mały z bagnetem sunie do mnie, wyciąga rękę.

W Perouges zrywa się wiatr. Szarpie kolorowe kawiarniane parasole. Gołębie podrywają się z okapów, krążą po płachcie błękitu nad nami, nad wiatrem, nad średniowiecznymi murami. Jest upalnie i parno. Pewnie zbiera się na burzę.

Siuuu...

To przemawia bagnet.

Mówi tak, przebijając się przez koszulę khaki, pod festonami kolczastego drutu, dosięgając mojego boku. Obsuwa się po żebrach, przebija na zewnątrz, wyłazi z drugiej strony.

Z drugiej strony mnie.

Mam bagnet w boku.

Mam. Tam. Bagnet.

Tkwi w dziurze przez chwilę, a potem wyłazi z lepkiem młśnięciem. Posłuszny cienkiej czarnej ręce anioła.

Anioła ze szczerbą między przednimi zębami.

Który na oko ma może z osiem, dziesięć lat.

Zaciskam powieki. Jestem bardzo, bardzo daleko. W Perouges. Zapada zmierzch. Niebo nie jest już wesołe, sukienkowo niebieskie. Ma barwę tętnicznej krwi i sika z dziury w horyzoncie, oblewając wszystko czerwienią. Posoka ścieka z kamiennych murów, z ceglanych dachówek, wali rynnami, pienista i gorąca.

Czarne anioły uwijają się to tu, to tam. Odklejają od mroku wieczoru, spadają z szarych i purpurowych chmur. Są wszędzie, nie mogę dłużej ich ignorować.

Nic nie mówią, ale wiem, co chcą mi przekazać.

Jestem nikim.

Jestem głupi, mały, podły.

Jestem cielesną powłoką i niczym więcej.

Jestem biologiczną tkanką, workiem mięśni, ścięgien, kości i żył w powłoce skóry.

Jestem kupką gówna.

Pomyłką Matki Natury.

Przypadkowym „ups!”.

Zlepkiem spermy mego ojca i jaja zagnieżdżonego w macicy matki.

Pękniętym kondomem.

Żyjąc, zużywam się i psuję, i tak aż do śmierci.

Jestem bardzo podatny na śmierć.

Wystarczy spuścić trochę czerwieni przez parę dziur w worku i roztopię się w niebycie.

Jestem bardzo łatwy do zabicia. Do unicestwienia. Do skasowania. Do usunięcia. Dezintegracji.

I teraz właśnie to robią.

Czarne anioły to robią.

Zabijają mnie.

Chcę wrócić. Chcę wrócić do domu. Do Marli. Do tamtego wieczoru z Monique. Wszystko jedno.

Gdzieś z głębi nieba spływa szara mgła. Mleczna mgła o konsystencji budyniu. Toną. Obsuwam się. Uciekam. Odchodzę.

Czarny Piotruś krzyczy na mnie, wymachuje automatem.

Nic mnie to nie obchodzi. Odpływam.

Chruuu! Kolba karabinu uderza w Kapitana Gnata. Ale to i tak zmarnowana energia. Nic nie czuję. Zapadam się w budyniową mgłę.

Głęboko, do samego dna.

Perouges płonie.

Ludzie pędzą w popłochu wąskimi uliczkami, przewracają się, tratują. Powietrze ma kolor atramentu. To od dymu. Trudno oddychać. Palą się dachy, belki stropowe, podcienia, balkony. Węglą się, czernieją klejnoty kwiatów w przyklasztornym ogrodzie. Płomienie huczą, wyją ludzkim głosem. Palą się włosy, ubrania uciekających przechodniów. Cuchnie niemilosiernie.

Benzyną.

Pieczonym mięsem.

Spalenizną.

Muszę otworzyć oczy.

Wiem, że muszę.

Nie chcę, nie mogę, nie wolno mi. Płacę bezsilnie, zaciskając powieki, ale muszę na to spojrzeć. Muszę zobaczyć.

To nie Perouges. To Jacques.

Marionetka miotająca się na sznurku. Flambirowany Kubuś Dyniogłowy. Ghost Rider z płonącą głową. Kukła Guya Fowkesa przypięta do pnia krzywego drzewa.

Tamaryndowca? Chlebowca? Rokitnika? Nie wiem. Nie pamiętam. Płacę.

Jacques rzuca się coraz słabiej, krzyczy ciszej. W końcu zamiera. Ale nadal płonie jak flara. Czarny, trochę skurczony, okryty czułymi pocałunkami płomienia.

Piotruś Pan ze Śmierciolandii trzyma w dłoni butelkę z benzyną. Wychlapuje ciepławy, żrący płyn na moje włosy, twarz, ramiona. Więc to ja będę następny. Nie Femi. Zemdlony flak przydrutowany do drzewa po mojej prawicy.

Ja.

Zaraz umrę spalony żywcem.

Patrzę na Jacquesa, a łzy płyną po moich policzkach, mieszając się z benzyną.

Nie płacę ze strachu.

Nie płacę z bólu.

To ciężkie, smutne łzy ostatecznego zrozumienia.

Śmierć już mnie obejmuje, tak jak przytuliła mego przyjaciela Jacques'a. Jacques'a profesjonalistę. Jacques'a fotografa. Który upierał się, że ma normańskich przodków. Który

fatalnie opowiadał dowcipy. Który tak zabawnie, starannie odkrawał skorupki jajek na miękko.

Żegnaj, bracie.

Nie umiem się już bać. Przecież to się nie dzieje. Nic się nie dzieje naprawdę. Jesteśmy tylko pomyłką Matki Przyrody. Pyłem na wietrze.

Za chwilę będę płonął, krzyczał, umierał, ale na razie tylko płaczę.

Nad sobą. Nad wami wszystkimi.

Chłopiec z butelką benzyny cofa się, uśmiecha, wreszcie zadowolony. Spełnia ważne zadanie. Walczy w słusznej sprawie. Zadaje śmierć. Jest kimś. Kimś ważnym.

W przeciwieństwie do mnie. Ja nie jestem ważny.

Wiem, już zrozumiałem.

Nie jestem nikim ważnym, nawet w chwili gdy umieram.

Nagle mój morderca odwraca się, czujny, zaniepokojony, patrzy na drogę zasłoniętą suchymi krzakami.

I wtedy ziemia znów się przewraca. Na pewno tak, bo rozlega się seria wybuchów, a dziecięcy żołnierze sypią się na piasek, przewracając jeden na drugiego. Jakby ktoś kopnął w stół, rozsypując figurki maleńkiej dioramy.

Czarny Piotruś odwraca się na pięcie, usta ma otwarte, policzki dziwnie obwisłe. Przez chwilę gapi się na mnie czarno-czerwonym okiem pośrodku czoła. Trzecim okiem wybitym przez pocisk. Tym od oświecenia i medytacji. Od wewnętrznego wzroku. Potem klęka przede mną, jakby dostąpił nawrócenia i zapragnął się nagle wypowiedzieć. Butelka wypada z bezwładnych palców, całe ciało kłoni się do przodu, oddając mi hołd głębokim pokłonem. Z tyłu wcale nie ma głowy. Tylko miazgę.

Burczą silniki dżipów. Padają kolejne strzały. Ktoś nadjeżdża drogą.

Pewnie kawaleria.

Pewnie ONZ.

Przyjaźni kosmici.

Z samochodów wyskakują ludzie w mundurach, ludzie w białych koszulach, bosonodzy, biednie ubrani ludzie w wyblakłych T-shirtach. Wszyscy mają karabiny przyrośnięte do ramion i boków. Wielu ich, a imię ich legion. Sypią się i sypią na drogę, jakby dzipty nie miały dna, a oni wylazili wprost z dziur w ziemi pod podwoziami samochodów.

Automaty gdaczą. Uzi pokasłują znacząco. Sztucery robią duże okrągłe „pum!”.

A czarne anioły przewracają się i zmieniają kolor na czerwony. Większość walczy zaciekle, próbuje ostrzeliwać się z kałaszy, ale spora liczba pęka i ucieka, porzucając broń. Na ziemię lecą automaty, noże, pangie, pałki.

Myśmy się tylko bawili, *mister!* Myśmy się tylko bawili!

Lecz przyjaźni obcy z kosmosu nie wierzą w takie wykręty. Więc M-szesnastki i FN FAL-e gdaczą zaciekle, a kolejne czarne anioły padają w pył drogi. Anioły z dziurami w

głowach, z korpusami naznaczonymi kaszlnięciami sztucerów i uzi. Bardzo źle, gdyby któryś z nich zdołał powrócić do swego warlorda. Swego mrocznego pana, rozpartego w skórzanym fotelu, palącego drogie cygaro, rozdającego błogosławieństwa zanieczyszczonej, taniej koki, słodkie sny opium, zaniepokojonego o przyszłość plemienia, kraju, Afryki, mówiącego tak wiele o braterstwie, sile, pokoju i dobrobycie. Swego ojca, boga, admirała.

Dlatego rośli mężczyźni w mundurach muszą dopilnować, żeby wszystkie czarne anioły pocałowały piach.

Wielu chłopców jeszcze strzela zaciekle, lecz generalnie w oddziale uciekinierów z Nibylandii panuje kompletny chaos. I panika. Kiedy zabrakło Piotrusia Pana, nikt nie przejął dowodzenia nad całym oddziałem. Po krzaskach bronią się jakieś grupki, reszta poszła w rozsypkę. Jakiś wysoki chudzielec z zacieklą miną początkującego bohatera biegnie wprost na kule, ściskając w dłoni granat, jakby to była ulubiona maskotka, która pomoże mu przetrwać trudny egzamin. Ale egzamin dla niego właśnie się kończy.

Nie zdałeś, mówi belgijski automat FN FAL. Dzieciak leci na ziemię, granat, z zawleczką tkwiącą nadal w mrocznym wnętrzu, układa się obok, wierny aż do śmierci.

Powoli aniołów robi się coraz mniej. Puste, martwe ciała walają się po ziemi jak kokony owadów po wylince. A oni szybują ponad chmurami, gdzieś wysoko, dokąd leci się, umierając. Tam, gdzie odfrunął Jacques i ksiądz znaleziony na drodze. Tam, gdzie jest dla mnie przygotowane wygodne łóżko i półeczka na książki.

Mały ze szczerbą między zębami leży u stóp mojego tamaryndowca, patrzy szeroko otwartymi oczami w niebo. Wydaje się, że ogląda obłoki.

Ja też unoszę wzrok w górę. W ocean błękitu. Morze niebieskiego powietrza.

– *Mister! Mister!* – woła ktoś z bardzo bliska. – Żyje pan? Tu milicja obywatelska i oddział ECOMOG Wojsk Interwencyjnych Afryki Zachodniej. Już po wszystkim! Słyszysz pan? Jesteście uratowani! Zaraz zabierzemy was do szpitala. Słyszysz pan?

Nie słyszę.

Oglądam niebo.

– Jack? Już w porządku, Jack – to Eze Ukuwu.

Skąd się tam wziął, do diabła?

Niebo ciemnieje, robi się całkiem czarne. Zapada noc, która przemienia się w okopcone, pocięte belkami drewniane sklepienie.

Siedzę na rzeźbionym zydlu, wstrząsany łkaniem. Jestem w rytualnej chacie. Jestem w Liberii. Jestem zmęczony.

– Zmarli przemówili, Jack. – Ten cholerny murzyński hipnotyzer szarlatan kładzie mi dłoń na ramieniu uspokajającym gestem. – Zgodzili się z tobą rozmawiać. To dobry znak.

Dobry znak? Jezu!

Trzęsę się jak skazaniec na krześle elektrycznym.

– Przyjdź jutro – mówi Ukuwu. – Pomogę twemu duchowi odnaleźć wewnętrzną równowagę. Przyjdź jutro, Jack. Umarli nie lubią czekać.

Przychodzę. Przychodzę codziennie. Coś mnie przyciąga do dusznej ciemności rytualnej chaty, do tajemnicy mojego nawiedzenia, do tego człowieka o twarzy Danny’ego Glovera i schludnych dłoniach księgowego. Nie odprawiamy już magicznych ceremonii. Nie ma składanych w ofierze kur, odurzających napojów, podróży do świata umarłych. Po prostu rozmawiamy.

Jak nieznajomi.

Jak mieszkańcy dwóch odmiennych kontynentów, wychowankowie różnych cywilizacji.

Jak ludzie, którzy wiele przeżyli.

Jak wtajemniczeni.

Jak przyjaciele.

– Jak ci idzie? – pyta Marla.

– Dobrze – odpowiadam w czeluść telefonu.

– Na pewno? Ostatnio nigdy nie można cię zastać.

– Dużo spaceruję.

– Do Surulere? Do tego czarownika? Jack, czy ty aby nie przesadzasz?

Wzruszam ramionami, choć ona nie może tego zobaczyć.

– Sama mnie do niego posłałaś.

Chwila ciszy.

– Miałam nadzieję, że to ci pomoże.

– Pomaga.

Następna napięta cisza. Ale niedługo.

– Wpadnij kiedyś do mnie. Na przykład dzisiaj. Stęskniłam się, Jack. Ostatnio wcale się nie widzimy.

– Dziś nie mogę.

– Bo jesteś umówiony z Ukuwu? Rany, ten diabeł cię zrujnuje! Nie dawaj się tak doić. Ile sobie liczy za sesję? Pewnie słono, co?

– Nic. To towarzyskie spotkania. Rozmawiamy.

Słuchawka wzdycha.

– W porządku. Skoro tak... Ale wpadnij. Jutro? W tygodniu? Muszę z tobą pogadać.

– Dobrze, zobaczę.

– Och, do diabła! – drze się słuchawka i podskakuje mi w dłoni. – Zobaczyć to możesz własny tyłek bez lustra, Wilczyński! W zwierciadélku tego twojego cholernego szarlatana. Prosiłam, żebyś przyszedł. Chcę porozmawiać. Zależy mi. Zresztą, jak wolisz...

– Okay. Zadzwoń. Muszę kończyć, Marla.

– Jasne, rozumiem. Baw się dobrze – syczy zduszonym głosem telefon.

– Na razie.

Przerywam połączenie.

Marla jak zwykle niczego nie rozumie.

– Afryka to prastary kontynent – mówi Ukuwu. – Mieszka tu wielu ludzi, ale też wielu bogów. Duchy, przodkowie, demony. Wszyscy tu są, Jack. I skądś muszą czerpać energię, żeby żyć. Karmić się czymś, co pozwoli im przetrwać. Ofiary, rytuały, zaklęcia, to daje im siłę. Ludzie wciąż w nich wierzą, pomagają im przetrwać. Lecz duchów jest bardzo dużo. Nie dla wszystkich starcza pożywienia. Myślę, że walczą o to między sobą.

– Walczą? Jak żebracy o miskę *garri*?

Eze się śmieje.

– Gorzej, Jack. Jak wściekłe psy o starą kość.

Nie bardzo mogę uwierzyć.

– Naprawdę. – *Babalawo* kiwa głową. – Nie tylko ludzie głodują w Afryce. Owoce, kurczaki, kozy to za mało jedzenia dla bogów. Oni potrzebują krwi. Ludzkiej krwi. Nic ich tak nie ożywia, nie odmładza.

– Potrzebują liftingu, Eze? Kuracji odmładzającej? Jak cholerne gwiazdy z Hollywood?

– O tak! – chichocze. – Oczywiście, że tak! Nasi bogowie są starzy, bardzo starzy. Prawdę rzekłszy, myślę, że umierają. Nie dlatego, że świat się zmienił. Nie dlatego, że zamiera tradycja. Nie dlatego, że młodzi wypierają się swoich wierzeń i uciekają na Zachód. Dlatego, że są całkiem zgrzybiali, Jack. Umierają ze starości.

Siedzimy w małym pokoiku, z tyłu rytualnej chaty. Wszędzie wiszą pęki ziół, ptasie pióra, suszą się jakieś bulwy i korzenie. Na półkach stoją słoje z martwymi owadami, stare karabinowe łuski, fiolki z piaskiem i różnokolorowymi proszkami, flaszki i pudełeczka pełne cuchnących mazideł.

Sklepik czarownika.

Eze upija łyk palmowego piwa.

– Krew oszałamia bogów, sprawia, że stają się potężni, odżywają. Kiedyś składano im ofiary z ludzi. I bogowie rozkwitali. Ale i oni niczego nie umieją poradzić na upływ czasu. Słabną, chorują, dziwaczej. Stają się niezdolni i dzieciniali, jak to starcy. Nie kierują już sprawami świata, nie sądzą ludzkich uczynków, nie ustanawiają mądrych praw. Wszystko wymyka im się z rąk, a to budzi w nich tylko żal i wściekłość. Spójrz, co się dzieje z Afryką. Równowaga jest zachwiana. Wszędzie wojna, głód, sąsiad zabija sąsiada, brat brata. Chaos. Nie ma jasnych praw, sprawdzonych obyczajów. Wszystko upadło, wypaczyło się. A na to miejsce bogowie nie wprowadzili nowych nakazów, nowych tabu. Dlatego, że są słabi i zgrzybiali. Dlatego, że ich jedyną obsesją jest ludzka krew. To główny powód, dla którego Afryka płonie.

– Zaraz – przerywam. – Myślisz, że za te wszystkie konflikty zbrojne, wojny domowe, rzezie plemienne, upadki rządów, dyktatury tyranów, nawet zwykłe przestępstwa są odpowiedzialni bogowie?

Babalawo klaszcze w dłoń.

– Tak! Oczywiście, że tak! I sam do tego doszedłeś, Jack! Posuwamy się do przodu! Wspaniale!

Uśmiecham się, bo zachowuje się jak rozradowany terapeuta. Brakuje mu tylko kozetki, notesika i rogowych okularów.

– Afrykańska ziemia musi nasiąkać krwią, żeby wyżywić bogów – ciągnie. – A bogowie potrzebują coraz więcej krwi. Chcą, żeby ludzie się mordowali. Chcą pić krew. Ale to im pomaga tylko na trochę, utrzymuje przy życiu ich słabe starcze ciała, zasnutę szaleństwem umysły. Pozwala tylko na krótkotrwałą poprawę, niewielki przyływ sił. Za chwilę bogowie znów osuwają się w chorobę i śmierć. Więc znowu prowokują rzezie, starają się doprowadzić do rozlewu krwi. Zwłaszcza dawni bogowie wojny. Oni potrzebują mnóstwo energii, oni poddają się najpóźniej.

– Tacy jak Gu? – pytam cicho.

Ukuwu milknie, patrzy na mnie z napięciem.

– Tak, Jack. Właśnie tacy jak Gu.

Sięgam po szklankę z piwem.

– Więc nie lepiej, żeby umarli? Byłby wreszcie pokój w Afryce, Eze.

– Nie! – krzyczy, marszcząc brwi. – Nie bluźnij! Nawet tak nie myśl, Wilczynsky!

Wygląda teraz jak gniewny starotestamentowy prorok w kolorowym *bubu*. Prorok umarłej religii i konających bóstw. Ale zaraz się uspokaja.

– Widziałeś kiedyś boga, Jack?

Zastanawiam się chwilę.

– Może raz. We wstecznym lusterku mercedesa. Przypominał rytualną maskę. Był w tej rzeczywistości, choć jednocześnie całkiem gdzie indziej. Ale równie dobrze mógł okazać się dziwnym zwidem, halucynacją od stresu i upału. Źle się wtedy czułem, Eze.

Babalawo pochyla się ku mnie.

– Straciłem w wojnie domowej pięciu synów – mówi cicho. – Wszystkie moje dzieci. Najmłodszy nie skończył dziesięciu lat. Ale przysięgam ci, przeżyłbym to jeszcze raz, byle tylko utrzymać przy życiu jednego boga.

Milczę zmieszany. Jest mi smutno i nieswojo. To nie mój świat, nie moje obyczaje, nie moje korzenie. Przychodzę tu, biały Europejczyk, ze swoim sceptycyzmem, cynizmem i racjonalizmem, i wydaje mi się, że mam prawo traktować Afrykę pobłaźliwie.

Jakieś czary-mary, wróżby, *orisze*. Malowniczy prymityw. Ale to jest religia, ci ludzie w to wierzą. A ja nie jestem pewien, czy potrafiłbym stracić dla mojego Boga choćby włos z głowy najbliższych.

– Idź już – mówi Ukuwu. – Ale przyjdź jutro. Niedługo nadejdzie czas, kiedy pokażę ci coś ważnego. Jak będziesz gotowy.

Zbieram się do wyjścia, gdy woła za mną. Zatrzymuję się w progu.

– Jack – mówi – zastanów się, proszę, dlaczego oni zawsze przychodzą do ciebie razem.

Obracam się zdumiony.

– Twój nieżyjący przyjaciel i dzieci, które go zabiły – tłumaczy Eze. – Ofiara i oprawcy. Dlaczego przychodzą razem, w zgodzie? Pomyśl o tym, Jack.

– Nie doczekałam się ciebie, to sama przyszłam – mówi Marla.

Jej żółte oczy są dzisiaj ciemne, niczym płynny karmel. Jak bourbon, który sączy. Jakby była całkowicie wypełniona whisky, która prześwituje przez jej tęczówki, ale jeszcze nie sięga mózgu. Wąskie usta ma upaprane brunatem szminki. Nie wiem, czy się złości, czy smuci.

Siedzimy w lobby barze w starym, pocziwym „Meridien”.

– Byłem zajęty. Dobrze mi idzie, Marla. Niedługo poradzę sobie z tym wszystkim. Ukuwu naprawdę mi pomaga. Dużo już zrozumiałem.

Potrząsa energicznie kostkami lodu w drinku.

– Wybacz, Jack, ale tu nie ma nic do rozumienia. Dostałeś się w ręce oddziału jakiegoś bandyty, ale udało ci się przeżyć. Wiem, że to okropne doświadczenie, lecz całkiem normalne w Afryce. Tak tu po prostu jest. Może się zdarzyć, zwłaszcza reporterom wojennym. Nie uważam, że cackasz się ze sobą ani nic w tym rodzaju, ale nie mogę pojąć, w czym ma ci pomagać plemienny czarownik. Właściwie zaprowadziłam cię do niego, żebyś się trochę rozerwał, przestał myśleć w kółko o jednym. Dobra, może i trochę uwierzył w te oczyszczające cuda. Coś w rodzaju efektu placebo, rozumiesz. Ale widzę, że traktujesz to okropnie poważnie, Jack.

Patrzę na Marłę, ale przede mną siedzi ktoś obcy. Ktoś inny. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Jakby Ukuwu, zamykając jej przed nosem drzwi rytualnej chaty, odmówił też wstępu do miejsc, które stały się teraz moje. Jakbyśmy oboje znaleźli się wtedy na rozstajach i poszli w przeciwnych kierunkach. Ale tak powinno przecież być. To właściwe, ustalone od wieków. Istnieje Dom Kobiet i Dom Mężczyzn. Męska i kobieca magia. Nie wolno ich łączyć.

Jasne, że nic nie rozumie. To sprawy Gu. Dziedzina wojowników.

– Myślisz, że zwariowałem? – pytam zaczepnie.

Wydyma usta.

– Rany! Nie. Myślę, że za bardzo się zaangażowałeś.

– To się mylisz.

Odwraca wzrok, wyraźnie urażona. Nie tak się rozmawia z Marlą Bjornsen. Ale ja już nie muszę się przejmować. Mam ważniejsze rzeczy do roboty.

Przygryza usta i wzdusza ramionami.

– W porządku, sam wiesz lepiej. W sumie wcale nie o tym chciałam pogadać. Chyba pojedę do Kanady, Jack.

Urywa i patrzy na mnie z napięciem. Wygląda teraz zupełnie jak kotka. Kotka, która nasikała na dywan i nie zamierza się przyznać.

– Jasne, jedź, jeśli masz ochotę – mówię. – Nie rozumiem tylko, dlaczego to takie ważne.

Marla ma trzy ojczyzny. I trzy światy. Raz twierdzi, że urodziła się w Vancouver, jej ojciec był Kanadyjczykiem, a matka Hiszpanką. Innym razem opowiada, że przyszła na świat w Nowej Zelandii, ale jej matka pochodziła z Islandii, krainy pięknych kobiet i kosmatych kucyków. W trzecim ze światów Marłę znaleziono w kapuście na polu pewnego farmera w brytyjskim hrabstwie Norfolk. Widocznie tym razem mamy do czynienia z wersją kanadyjską.

– Nie rozumiesz, Jack. Myślę, że wyjadę tam na stałe.

Żółte oczy patrzą na mnie i powoli wypełniają się łęką.

– O rany, nie od razu, nie teraz. Kiedyś, za kilka miesięcy. Może za rok. Nie patrz tak. Przecież jeszcze nie podjęłam decyzji.

Podjęła. Wyjeżdża.

Na stałe.

Marla wyprowadza się z Lagos.

Z Nigerii.

W ogóle z Afryki.

Marla. Się. Wyprowadza.

Do jakiejś pieprzonej Kanady.

To cholernie nie w porządku! Cholernie nie w porządku i sama dobrze o tym wie. Dlatego siedzi tu z miną kotki szczającej na dywan i udaje, że nic się nie stało.

– Dlaczego? – to chyba mój głos.

Mój drewniany, zły, zawiedziony głos.

Otwiera usta, jakby chciała nabrać głęboki haust powietrza przed skokiem w głębinę.

– Zlituj się, Jack. Kto chciałby mieszkać całe życie w Lagos?

Marla. Prawdziwa Marla. Marla Kiedyś. Którą znałem, zanim gdzieś się zgubiła.

Wzdusza ramionami. To tyle, jeśli o mnie chodzi.

– Przyślij czasem pocztówkę – mówię.

Zwierzęce oczy rozszerzają się ze zdumienia.

– Zmieniłeś się, Jack – mówi.

To stare, głupie, nieznośne hasło wszystkich lasek świata. „Zmieniłeś się”. Och, jasne! Wiedziałem, że do tego musi dojść.

– W co się zmieniłem, Marla? W goryla? Szkaradnego Grendela? W samca alfa, zapatrzonego we własne cholerne rozdęte ego? W potwora z bagien? Może mnie oświecisz, w co się według ciebie zmieniłem, skarbie?

Wcale się nie wkurza. Tylko znów wzdycha i przygryza wargę.

To niedobrze. Zupełnie niedobrze.

– Jack, posłuchaj, bardzo cię lubię. To żadne tam głębokie uczucie, żadna miłość, ale naprawdę jesteś mi bliski. Nie sądziłam, że tak gwałtownie zareagujesz. Myślałam, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. Dawno temu. Wtedy. A teraz nie wiem, co się z tobą dzieje. Zrobiłeś się nerwowy, nadpobudliwy. Dziwaczny. I jeszcze ten *babalawo*. Poi cię jakimiś narkotykami czy co? Zrozum, Jack. Martwię się o ciebie. Kiedyś nawet sypialiśmy ze sobą, dlatego mogę się trochę tobą przejmować, prawda?

Nie podoba mi się to „kiedyś”. Nie podoba mi się cała nasza rozmowa. Ta obca NieMarla, która jak gdyby nigdy nic wyprowadza się do pieprzonej Kanady. Zimnej, ponurej, nieznanej, pełnej jakichś pieprzonych łosi czy łososi Kanady na cholernym zadupiu świata, a teraz siedzi ze mną w barze, potrząsa kastanietami drinka i twierdzi, że się o mnie niepokoi.

– Nie chciałaś mnie – mówią nagle moje usta, chociaż ja sam wcale nie mam zamiaru tego wypominać. – Nawet nie spróbowaliśmy porządnie, Marla, bo z góry zakładałaś, że nic z tego nie będzie. Ponad nami, obok i pomiędzy zawsze leżał twój pieprzony martwy mąż. Święty Einar Bjornsen, którego diabli wzięli w czterdziestej wiosnie życia. A ty się obwołałaś sycylijską wdową. Cholerną hinduską sati, martwą za życia. Gdybyś mogła, rzuciłabyś się, łkając, na jego stos i zhajcowała się jak kaczką na ruszcie. Czy to jest, do kurwy nędzy, normalne? To o ciebie chyba trzeba się martwić, Marla. Ty masz nierówno pod sufitem, skarbie, a nie ja!

– Do diabła, chyba już ci to wyjaśniałam, tak? – Odstawia z trzaskiem szklanę. – Naprawdę kochałam w życiu tylko Einara. I nie mam zamiaru zgodzić się na nic poniżej. Żaden tam związek dla otarcia łez. Nic, co byłoby takie sobie, miłe, fajne, ale nieprawdziwe. Sorry, skarbie. Wracaj do swojej słodziutkiej jak miodzik Fabienne. I uważaj, żebyś się nie przejadł, bo nadmiar słodczy wywołuje mdłości. A ode mnie się odczep!

– Co on takiego miał? Brylantowego kutasa?!

– Jack! Ty pierdolcu! Przeginasz! – to już nie brzmi jak spadająca śliwka, raczej ryk tygrysy, której ktoś wybiera młode spod cyca.

Ale ja już nie mogę się zatrzymać. Lecę z górki niczym rozpędzony wózek pełen węgla. Pełen brudnych, skamieniałych brył wydobytych z najgłębszych, cholernych pokładów zazdrości. Stamtąd, gdzie boję się zaglądać nawet z latarką i czekanem.

– Twój cholerny Einar pewnie sika po nogach z radości, kiedy gapi się na nas z nieba. Wierna aż poza bramy śmierci. Co za żałosna, kiczowata telenowela, Marla. I to ma być twoje życie? Podłe romansidło w miękkiej oprawie? Tego wymagał od ciebie ten twój cudowny, zasrany mąż?

– Odbiło ci – syczy Marla. – Odwaliło na amen. Uważaj, bo za chwilę przegniesz. Nie, dobrze wiesz, że nie wymagał. Pewnie wcale się nie cieszy, że jestem sama. Pewnie chciałby, żebym poznała kogoś, kto nie będzie jakimś atomowym, nadętym dupkiem. Głupim sukinsynem myślącym wyłącznie o sobie. Tylko jak na razie nic z tego, kotku! Nie spotkałam nikogo, kto choćby umywał się do Einara!

– No, to niezły szczęściarz z tego Bjornsena – wrzeszczę. – Zanim kopnął w kalendarz, znalazł swoją prywatną brakującą połóweczkę pomarańczy. Jak uroczo!

Marla wstaje, zaciska pięści. Twarz ma ściągniętą, w oczach coś straszego, coś, czego nie da się opisać. Jakaś gniewną rozpacz, poczucie straty i krzywdy, na którą nie zasłużyła.

Nikt nie zasłużył.

– A ja, Jack? Ja też jestem szczęściarą, co?

Niedobrze.

To nie może się tak skończyć.

Nie wolno nam rozejść się teraz, odejść, nigdy się nie zobaczyć. Nie wolno zapamiętać jej twarzy z tym grymasem możliwym tylko w teatrze bunraki, w antycznej tragedii, w powieściach Faulknera.

Nagle rozumiem.

Jeśli teraz niczego nie naprawię, stracę Marłę na zawsze.

Odejdzie dalej niż do najbardziej odległej Kanady. Dalej niż na Księżyc. Poza znany kosmos.

A do tego nie mogę dopuścić.

– Przepraszam – mówię cicho. – Przegiąłem. Chyba mi odbija. Wybacz, Marla. Po prostu nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Nie spodziewałem się tego. Byłem na ciebie wściekły, dlatego mnie poniosło. Nie myślę tego, co powiedziałem. Chciałem zrobić ci przykrość, uderzyć cię. Nie mam do tego żadnego prawa, wiem. Nie mam też praw do ciebie. I wciąż tego żałuję. Przykro mi. To tyle. Teraz możesz dać mi w mordę, oblać mnie whisky, nawymyślać, pójść sobie. Ale nie zrywaj ze mną kontaktu. Potrzebuję cię. Może ciągle mam nadzieję? Wiesz, jak to bywa bez nadziei, Marla. Głupio.

Spuszcza głowę. Chyba stara się nie rozplakać.

– W porządku. Niech będzie. Nie wyślę cię do diabła na zawsze. Ale teraz wyjdę, a ty nie będziesz do mnie dzwonił, dobra?

Kiwam głową.

– Dobrze. Nie będę.

Wstaje, nakłada ciemne okulary i odwraca się do wyjścia. W objęcia lagoskiego białego boksera, którego chce po tylu latach porzucić.

– Jack?

Brzmi, jakby spadała dojrzała śliwka. Jak zwykle. Przynajmniej tyle udało mi się osiągnąć.

– Posłuchaj, ostatnio dowiedziałam się czegoś, co może cię zainteresować. Jos van der Groose żyje. Był ciężko ranny, z trudem wrócił do zdrowia, miał mnóstwo operacji i spędził ponad rok w szpitalu, ale przeżył. Chyba powinieneś wiedzieć.

Chyba powinienem wiedzieć?

Van der Groose żyje.

Jos przetrwał.

Boże, to wszystko zmienia! Teraz rozumiem. Nareszcie. Teraz wreszcie wszystko pojąłem!

Zrywam się z krzesła i biegnę do drzwi, w przelocie wpadając na Marłę. Obraca się jak bąk. Widzę jej otwarte w zdumieniu usta, okrągłe, brunatne od szminki kółko.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej! – krzyczę. – Marla, to cholernie ważne! Dlatego przychodzą razem, ale bez Josa! Wojownicy! Dzieci Gu! Więc o to chodzi!

Wybiegam na parujący od gorąca hotelowy podjazd. Taksówka! Natychmiast potrzebuję taksówki.

– Wariat! – wrzeszczy za mną Marla, wściekła jak całe gniazdo os. – Wilczyński, jesteś świr kliniczny! Zupelny, pieprzony, beznadziejny wariat!

Nie zwracam na nią uwagi.

Muszę się natychmiast dostać do Surulere.

– Już wiem, Eze! Już rozumiem! Przychodzą do mnie razem, bo wszyscy jesteśmy jedną rodziną. Dziećmi jednego boga. Synami Gu. Chcą, żebym to zrozumiał. Chcą, żebym do nich dołączył. A ja, kretyn, nie potrafiłem tego pojąć. Odrzucałem dar jedności z bóstwem, z wojownikami, którzy mają dumne prawo należeć do tej wspólnoty. Jacques, tamci młodzi żołnierze, ty, a także ja, do cholery, tak, ja też, jesteśmy wybrańcami. Ukochanymi dziećmi *oriszy* wojny. To nasz bóg, nasz władca, nasz ojciec i nasze miejsce na ziemi! W końcu to zrozumiałem!

Stary czarownik uśmiecha się, kiwa głową, ale jest głęboko poruszony.

– Zrozumiałeś, Jack. Tak, wreszcie pojąłeś, co mówią do ciebie umarli. Co chciał ci przekazać sam Gu, wszechpotężny. Teraz jesteś już gotów. Teraz możesz dotknąć, na własne oczy zobaczyć to, co ukryte. Teraz możesz obcować z bogami. Chodź. Nadszedł czas. Twoje życie zmieni się na zawsze. Chodź, synu Gu. Wiedziałem, odkąd cię tylko ujrzałem, że zostałeś wybrany. Teraz dowiesz się dlaczego. Chodź!

Odsłania kotarę w rogu pokoju, wstępuje w ciemność pachnącą ziołami i kurzem, wibrującą, gęstą od mocy. Teraz to czuję. Moc. Potęgę. Zakrzywiająca się rzeczywistość, pulsująca jak membrana bębna. A za nią inny świat. Obcy. Przeróżający. Przynależny tylko istotom nadprzyrodzonym. Bóstwom. Ale jakże pociągający.

Mój. Także mój, poprzez *oriszę*, który zaszczyił mnie opętaniem.

– Chodź, dziecię Gu!

Idę.

Nie potrafiłbym inaczej.

Wzywa mnie zew. Wołanie boga. Jego rozkaz.

Idę za czarownikiem.

Idę, zataczając się jak pijany.

Szczur biegnący za głosem fletu. Boskiego fletu.

Przecinamy mroczną czeluść rytualnej chaty, ciasnymi korytarzami przeciskamy się poprzez labirynt małych i dużych pomieszczeń. To chyba dom Eze. To chyba inny wymiar. Potykam się o coś, przewracam, pędzę. Nieważne. Nic mnie teraz nie może zatrzymać. Słucham głosu czarownego fletu.

Membrana pulsuje. Sfery niebieskie śpiewają.

Jestem szczurem w labiryncie.

Jestem szczurem i biegnę po nagrodę.

Ściany plują kolorami, kapią tęczową poświatą. Za chwilę moja głowa oderwie się i pofrunie. Za chwilę moje ciało rozedrze się jak pakowy papier, uwolni skrepowanego lakiem i sznurkami ducha.

Nie muszę myśleć.

Nie muszę się zastanawiać.

Nie muszę być imieniem, nazwiskiem, profesją.

Mam to w dupie. Olewam.

Jestem szczurem na wojnie.

Jestem krwią i mięsem.

Lampartem pożerającym gazelę.

Jestem synem Gu.

Biegnę, wciąż biegnę i wpadam z impetem na plecy Ukuwu. Chcę podążać dalej, moje nogi wciąż pracują, prą do przodu. Uderzam barkiem w metalowe drzwi. Wielkie metalowe drzwi, chyba od garażu. Bum! I znów bum! I znowu. Ale *babalawo* chwyta mnie za ramiona, zatrzymuje.

– On tam będzie – poruszają się usta czarownika.

Głos jest jak pęknięcie skały, jak grzmot wodospadu.

– Jack, on tam będzie. Wytrzymasz? Zniesiesz to?

Nie wiem.

O tak! O tak! O tak!

Chcę z całej duszy.

Oszaleję za chwilę.

Zew fletu.

Zew fletu.

Zew.

Parle ou, mon cheval!

Galopuj, mój koniu.

Do mnie!

Do mnie!

Do mnie!

To rozkaz, nie prośba.

Nie zatrzymuj mnie, Eze!

– Jack, musisz to opanować! – to wodospad głosu Ukuwu. – Inaczej zawiedziesz go! On kocha tylko silnych. Bardzo silnych, biały *oibo*.

Władczy wodospad. Słowa wojownika. Warto ich posłuchać. Trzeba.

Uspokój się, Wilczyński. Uspokój się, człowieku, bo zaraz przesrasz coś najważniejszego w życiu.

Czuję, jak grenlandzka królowa budzi się w moich trzewiach, mroźnym pocałunkiem ścina żyły i ścięgna. Mam chyba atak malarii, ale, rany, kogo to obchodzi!

Trzęsę się, gryzę palce. Przygryzam z całej siły. Wbijam zęby w staw wskazującego palca. Najmocniej jak mogę. Usta wypełnia słonawy smak żelaza.

Mocniej. Musisz mocniej, woła lodowa królowa.

Zaciskam szczęki.

Chru, protestuje palec. Tak jak niegdyś ramię. To dobrze. Bardzo dobrze. Koło się zamyka.

Jestem podrygującym pajacem na kijku.

Kupką trzęsącego się mięsa.

Jestem krwistym sorbetem.

Wojownikiem.

Synem Gu.

Ssę palec.

Piję czerwień.

I nagle przychodzi spokój. Wielki, podniosły spokój. Prostuję plecy, unoszę głowę. Niczego nie muszę się bać. Lampart znów we mnie ożywa. Słyszę jego powolny, miarowy oddech. Oddech drapieży.

Sięgam po klamkę, pieczętuję ją krwią ze zranionego palca. Moje dłonie są rękami rzeźby z marmuru. Zimne. Pewne. Ani drgną.

– Już, Eze – mówię. – Pozwól mi wejść.

Czarownik odsuwa się od drzwi, kiwa z aprobatą głową.

Wchodzę.

Wchodzę do pustego garażu, w którym mieszka bóg.

Betonowe ściany przepelnia mdła, biaława poświata. Powietrze jest zimne i nieprzytomnie gorące jednocześnie. Pali w płuca. Trudno oddychać. Moja głowa wypełnia się mialkim piaskiem, wypełnia wiatrem.

Jednym krokiem przemierzam tysiące lat. Trudno iść. Bardzo trudno.

Na gołym klepisku podłogi leży materac. Dostrzegam wyraźnie każdy szczegół. Pasiaste, biało-niebieskie obicie. Wystrzępiony brzeg. Wybrzuszenia sfatygowanych sprężyn widoczne pod grubym płótnem, podobne do śpiących węży.

A na tym łożu ze śniących gadów spoczywa *orisza*. Gu.

Patrzę na obłą głowę z ogromną kwadratową szczęką i rzędami lśniących bielą kłów. Usta są lekko rozchylone, pozbawione warg, jak u jaszczurki. Czoło i policzki obciążnięte metaliczną, błyszczącą skórą. Małe uszy ściśle przylegają do czaszki. Oczy to tylko wąskie szczeliny zaklejone żółtawymi łzami ropy.

Mój ojciec, mój bóg, jest ślepy.

Masywna klatka piersiowa pobrużdżona wręgami żeber unosi się i opada z widocznym trudem. Jest ciemna, brunatna, niczym stare drewno. Na skórze widać głębokie wżery, skazy i blizny, jakby ciało toczyły czerwce. Ramiona przypominają konary. Dłonie o trzech długich, więzlastych palcach zaciskają się spazmatycznie na brzegach koca, który zakrywa podbrzusze i nogi *oriszy*.

Gu, którego niewolnikiem jestem po kraniec czasów. Aż wypalą się gwiazdy.

To jego niezwykłą twarz, jego potężne, podobne do kłody, podobne do ociosanego kamienia ciało tak nieudolnie starano się przez wieki przedstawić. Przypominam sobie rytualne maski, rzeźby, malowidła. O tak, noszą ślad podobieństwa. Ledwie ślad. Ta istota, wielbiona przez ludzi od samego zarania dziejów, znajduje się teraz tu, przede mną.

Orisza w prawdziwej, nieludzkiej postaci.

Orisza, jakiego człowiek dostrzega, lecz nie potrafi oddać ani w sztuce, ani w pieśni, ani w opowieści.

Żywy murzyński bóg.

Duch Czarnej Afryki.

Wiatr w mojej głowie niesie drobiny suchego białego piasku.

Pamiętam początek dziejów, gdy najwyższy bóg Olorun wybrał pierwszego *oriszę*, Obatalę, by powołał do życia Ziemię. Pamiętam, jak ozywali ulepieni z gliny pierwsi ludzie. Pamiętam swoje własne narodziny i czasy, gdy byłem potężny, młody, pełen sił. Pamiętam Afrykę, jakiej nie poznał żaden biały człowiek.

Pamiętam wojny, bitwy, potyczki, zapach i smak krwi. Pamiętam, jak zabijałem. Jak zabijano dla mnie ofiary. Cudowny, euforyczny przypyływ energii, nieprawdopodobną siłę, gdy syciłem się śmiercią, którą zadawano w moim imieniu.

Pamiętam wojowników opętanych bojowym szałem, krzyczące kobiety, konające dzieci, płonące chaty, karawany schwytych niewolników.

Pamiętam, co to znaczy zwyciężać.

Ale wspomnienia nagle słabną. Rozmywają się. Zachodzą mgłą. Rozsypują na kształt pikseli. Są tylko rozmazanymi cieniami za mrożoną szybą starości. Pyłem i kurzem w ustach. Nicością.

Patrzę oczami ślepego boga i mogę tylko szlochać, upaść na podłogę, tłuc czołem o ziemię, wrywać sobie włosy i kaleczyć twarz, jęczeć z bezsilnej rozpacz, bo pojmuję ze straszną pewnością, że on umiera.

Umiera.

Mój ojciec.

Moje życie.

Mój Pan.

– Jack?

Siedzę na zapleczu magicznego sklepu. Siedzę i nie jestem już tym człowiekiem, którym byłem dotychczas.

– Wypij to. – Eze podsuwa mi miskę z mętnym płynem.

Posłusznie przelękam gorzką zawartość naczynia.

– Dobrze to zniosłeś – mówi Ukuwu. – Wyciągnąłem cię, gdy straciłeś przytomność. Co raczył ci objawić?

Nie potrafię opisać.

– Wszystko. Wieczność. Śmierć.

Babalawo kiwa głową.

– O tak. Śmierć to jego domena.

– Skąd... no, to znaczy jak...? – płaczą się zmieszany.

Ukuwu się uśmiecha.

– Skąd go mam? Dlaczego trzymam boga w starym magazynie? On sam wybrał sobie miejsce. I wybrał mnie. Abede, mój nauczyciel i poprzednik, przekazał mi tę chatę i sklep. Ja tylko wzmocniłem ściany, położyłem lepszy dach. Sam. Żeby nikt go nie zobaczył.

Zaciskam palce. Bolą rozbite kostki. Wściekle rwie uszkodzony staw. Eksplodują cierpieniem zdarte o beton paznokcie. Ale muszę tak. Inaczej nie dałbym rady zadać tego pytania.

– Eze, on odchodzi? Kona, prawda? To już agonia.

Znów skinienie głowy.

– Tak, Jack. Gu umiera.

Czuję taki smutek, że nie mogę oddychać. Serce mam małe i smutne, zaciśnięte jak pięść. Twarde i cierpkie niczym niedojrzały owoc.

– Co robić? Jak go ratować? Musi być jakiś sposób.

Babalawo wzdycha ciężko.

– Jest. Nie pamiętasz? Mówiłem ci. Krew. Ludzka krew.

Podnoszę głowę. Na lewe oko nie widzę za dobrze, bo rozbiłem sobie łuk brwiowy, tłukąc twarzą o podłogę. Mówię też trochę niewyraźnie, ponieważ moje usta przypominają kiść rozgniecionych porzeczek. Na policzkach mam prawie tak głębokie *tribal marks* jak Eze, rozdrapane w ataku rozpacz.

Pewnie wyglądam jak kawał krwistego steku. Jak biały bokser po przegranej walce.

Ciekawe, czy to ubawiłoby Marłę?

– Mam popełnić samobójstwo? – pytam. – Tak po prostu, czy lepiej je wzmocnić jakimś rytuałem?

– Nie, w życiu! – krzyczy Eze i macha ze złością rękami. – Nie wolno ci! Nie rozumiesz? Jesteś wybrańcem! Agonia boga może trwać lata! Setki lat! Czekałem na ciebie tak długo, a ty chcesz wszystko zaprzepaścić! Gu cię wezwał, tak jak kiedyś mnie. Ja też się starzeję, Jack. Niedługo umrę, a ty zostaniesz moim następcą. Będziesz dostarczał mu ofiar, opiekował się nim i w miarę możliwości leczył.

Nagle do mojej nieco otumanionej głowy wpada wspaniały, jak sądzę, pomysł.

– Słuchaj, a jakbym zabił Lornę Danton? Nie znoszę tej wszawej suki. Zrobiłbym to z rozkoszą i wyzwolił tyle energii, że zasiliłbym całe Lagos prądem.

Ukuwu krzywi się, jakby przeżuł owoc ewo.

– Nie. Jak ty nic nie rozumiesz. Przecież to byłaby zemsta. W jaki sposób chcesz nakarmić boga wojny prywatną zemstą? To bez sensu. Tym zajmuje się zupełnie inny *orisa*. Nam potrzebny jest ktoś przypadkowy, nieznajomy. Po prostu cywil, który ginie w czasie walk. Dziewczyna w sklepie, głupek z aparatem, który wybrał się fotografować słonie...

Uśmiecham się, choć od tego pękają mi wargi. Pyk, pyk, kolejne rozgniecione porzeczeki. Oblizuję krew i w głowie zaraz mi się rozjaśnia.

– Hej! – Celuję w niego palcem. – To ty ich zabijasz. Tych turystów, co to podobno giną w Lagos. To ty, prawda?

Ukuwu wzrusza ramionami.

– On naprawdę kona. Dawniej, kiedy składałem w ofierze jakiegoś zabiedzonego, zaćpanego dzieciaka ze slumsów, odzyskiwał nieco sił. Teraz nie wystarczają nawet turyści. Ale ich krew jest lepsza niż Jorubów, bardziej naładowana strachem, siłą, potęgą zachodniej cywilizacji. Potem ich szukają, interesują się i to też korzystnie na niego wpływa. Nie wiem, może to tak jak z modlitwami. Im więcej ludzi wierzy i praktykuje, tym silniejszy jest bóg. Rozumiesz, kiedy mówią w telewizji, w gazetach o ofierze, to jej energia i znaczenie rośnie. Dlatego kozy i kurczaki od dawna nie dają żadnego efektu. Chociaż naprawdę pomaga jedynie wielkie, bolesne poświęcenie. Takie, od którego chce się potem umrzeć. Nie, chce się umrzeć zamiast. Jeśli oddasz bogu kogoś, na kim naprawdę ci zależy, bez Kogo nie potrafisz żyć, on odzyskuje siły na dłużej. Musisz głęboko, prawdziwie kochać, żeby twoja ofiara

nabrała mocy. Inaczej on znów szybko popadnie w letarg, osunie się w agonię. Ale przypadkowe ofiary też pomagają. Tyle że na krótko.

Rozumiem.

Wiem już, co powinienem zrobić. To czas na działanie, a nie gadanie. Gu potrzebuje krwi.

– Dobrze, Eze – mówię. – Zostanę twoim następcą. Naucz mnie wszystkiego.

Babalawo uśmiecha się.

– Oczywiście, Jack. Nauczę. Ale teraz wracaj do hotelu, odpocznij. Wyglądasz jak wojownik po bitwie. Będziesz straszyl dzieci na ulicy. Potrzebny ci sen i opatrunki. Przyjdź jutro. Wtedy zaczniemy naukę.

– Jasne. Dobranoc, Eze. Wrócę jutro – zgadzam się, ale tym razem wcale nie zamierzam posłuchać.

Nie zamierzam, bo zmrok dopiero zapada.

A Surulere, prawdziwa Surulere, dzielnica knajp, barów i szulerni, dopiero budzi się do życia.

Wcale nie jest trudno wyrwać frajera. Nawet z pyskiem jak zarcie dla psów. Już w drugiej knajpie znalazłem wybornego jelenia. Trofeum dla niecierpliwego myśliwego. Karmę dla lamparta.

Wystarczyło wcisnąć tani bajer, mrugnąć podbitym okiem i sprzedać mu kilka gadek z linii frontu. Bla, bla, bla. Jak to na wojence bywało. Historyjki z długiej i pełnej adrenaliny kariery reportera wojennego.

Młody łykał wszystko jak pisklak szpaka dżdżownicy z dzioba tatusia. Potem wystarczyło rzucić zblazowany tekst o drętwej imprezie i wspomnieć, że prawdziwi mężczyźni, z jajami jak bawoły, zwykli bawić się w inny sposób.

Wiesz, prawdziwa impreza voodoo, nagie laski opętane duchem lubieżnej Oszun, oddające się każdemu po kilka na raz, dradzi za darmo i ekstatyczne tańce, z opryskiwaniem się krwią zarzniętych kurczaków.

A wtedy ten dzieciak, jakiś Niemiec czy Austriak, w koszulce polo, gaciach szerokich jak żagle i krótkich jak jego horyzonty, zaraz zaczął przebierać chudymi nogami, obutymi w sandały podobne do rozdeptanych wodnych płazów, i piszczeć, żeby go tam zabrać. Oczy by mu wylazły z orbit, gdyby nie odbiły się od wielkich jak denka kufla okularów.

Więc zapakowałem go do taryfy i powiozłem do domu Ukuwu.

Szlocha teraz i smarka na klepisku rytualnej chaty, ale Eze nie jest zadowolony.

– Jack – mówi – nie możesz być taki nieostrożny. Jeszcze cię ktoś zobaczy, doniesie. Wiesz przecież, ile ryzykujesz. On musi mieć opiekuna. Mądrego opiekuna. On musi żyć, Jack! Jeszcze wiele, wiele lat. Wieki. To najważniejsze. Utrzymać go przy życiu. Nie rozumiesz?

– Ach, tak! Tak! – drze się z podłogi zasmarkane, splakane mięso. – To prawda, niech pana Bóg błogosławi! Ja muszę żyć! O tak! Mam dopiero dwadzieścia dwa lata! O Jezu miłosierny! Dziękuję panu! Proszę mnie wypuścić! Proszę go powstrzymać! To szalenciec! Ja zapłacę! Mój tata zapłaci! I ambasada! Bardzo proszę! Pójdę i nikomu nie powiem, przysięgam!

Miota się w więzach, którymi go skrepowiałem, i gapi na Eze błagalnymi, przerażonymi oczami zamkniętymi za grubą szybą okularów.

Babalawo wzdycha.

– Za wiele to nie da. Do rytuału trzeba się przygotowywać, nawet kilka dni. Nie możemy go trzymać tak długo. Mam tu sklep, przychodzą klienci, może się przytrafić jakieś nieszczęście. Zacznie wrzeszczeć albo się oswobodzi. Nierozsądnie postąpiłeś, Jack. Naprawdę.

Wzruszam ramionami.

– Ale choć trochę pomoże, prawda? Da mu chwilę ulgi.

– No tak – mówi Ukuwu. – Tylko chwilę.

– I to ważne. W każdym razie wypuścić go nie możemy.

Mięso chyba rozumie, co się święci.

– *Nein!* – ryczy strasznym głosem. – *Nein! Nein! O mein Gott! Nein!*

W kroku jego baloniastych spodni rośnie mokra plama.

Eze ma rację. To nie będzie dobra ofiara. Na przyszłość muszę wybierać staranniej.

Wlecemy go do garażu, choć próbuje kopać, pluć i wyrywać się. Spada jeden rozkładany sandał, z nosa zlatuje ogromna rama okularów. Brzdęk, szkło się sypie, zdeptane butem Ukuwu. Na okrągłej, pucółowatej twarzy mięsa smarki mieszają się ze łzami, po chudych łydkach płynie strużka moczu. Rany, kurczaki zachowują się godniej.

Trochę mi wstyd.

Wstyd sycić taką krwią mojego pana Gu.

Wybacz, szepczę do niego w myślach. Kiepski ze mnie niewolnik. Ale przysięgam, będę się bardziej starał. Poprawię się, obiecuję.

Szczękają metalowe drzwi.

Mięso widzi *oriszę* i wydaje tylko jeden nieprzerwany skowyt! Oczy ma ogromne, rozbiegane. Na ustach pęka bańka śliny. Nie wierzy. To go przerasta.

Ale to nie kraina czarów, Alicjo.

Nie koszmarny sen przyniesiony przez pijanego Piaskowego Dziadka.

To mój pan.

Ojciec i władca wojowników.

Nie potrafię patrzeć na jego upadek, jego cierpienie. Odwracam wzrok, staram się powstrzymać łzy. Nie wolno mi okazywać słabości. Gu kocha tylko silnych. A ja za nic nie chcę go zawieść.

Rzucam mięso na klepisko. Już się nie wrywa. Skomli monotennie, jak szczeniak za długo odstawiony od suczego cycka.

Kłękam, nie mogę stać w obecności *oriszy*. Nie śmiem. Widzę kątem oka, że Ukuwu też osuwa się na kolana.

– Potrzebujemy jakichś rekwizytów, kadzideł, pieśni?

Potrząsa głową.

– Nie tym razem. To nie jest pełny rytuał. Wystarczy krew.

Podaje mi nóż.

– Ty to zrób. Zasłużyłeś.

Pewną dłonią ujmuję rękojeść. Zimną. Marmurową. Silną jak stal. To dla ciebie, panie. Twój niewolnik składa ofiarę.

Szuuu, przemawia nóż.

Światło w oczach chłopaka zamiera i gaśnie. A z gardła bucha krew. Boże, jak pachnie. To czysta siła. Adrenalina. Życie.

Płaczę i śmieję się ze szczęścia. Bo mój bóg nabiera gwałtownie powietrza. Zapadła, sucha jak pień drzewa, jak drewniana kłoda klatka piersiowa napelnia się oddechem. Swobodniejszym. Lżejszym. Pełniejszym.

Widzę, jak pracują wypychane wręgi żeber.

Mój pan walczy. Nie poddaje się.

To napelnia mnie szczęściem i dumą.

Dla ciebie. To dla ciebie, mój ojciec, ośmielam się myśleć.

Mięso opada na klepisko, przestaje drgać. Umiera.

I nagle ciemną przestrzeń garażu zaczynają wypełniać znajome postaci. Jacques buchający hutniczym żarem pozdrawia mnie gestem spalonej dłoni. Piotruś Pan z trzecim okiem w czole uśmiecha się do mnie z radością. Młodociani wojownicy machają mi i kiwają głowami.

Witaj w rodzinie, mówią.

Wreszcie mówią.

I cieszą się wraz ze mną.

To moi bracia. Moi jedyni bliscy. Zgromadzeni razem u stóp naszego ojca.

Naszego boga.

Boga wojny i wszystkich jej synów.

Dużo myślę. O Marli. O Fabienne. O wszystkim, co mnie spotkało. W życiu nie byłem tak spokojny, tak pewny siebie. Nic już mnie nie gnębi. Odzyskałem radość i sens istnienia. Znalazłem swoje miejsce.

Wyzdrowiałem.

Hosanna!

Spędzam wiele czasu z Eze. Uczy mnie. Już nie popełniam takich błędów jak z tamtym beznadziejnym Niemcem czy Austriakiem. Wybieram lepiej.

I wciąż nie mogę zapomnieć słów Ukuwu.

„Jeśli chcesz naprawdę mu pomóc, musisz poświęcić kogoś, kto jest ci bardzo bliski. Kogo naprawdę kochasz. To nie może być zemsta ani nic w tym rodzaju. Tylko czyste, najboleśniejże poświęcenie. Jedyne w ten sposób przyniesiesz mu prawdziwą ulgę. Sprawisz, że odzyska nieco sił”.

Lion Eze Ukuwu dobrze to rozumie. Złożył u stóp bóstwa to, co miał najlepszego. Swoich synów. Sam mi o tym powiedział. I płakał. I był dumny ze swego czynu. Ja też płakałem. I czułem wielką dumę, że stanę się jego następcą. Nieważne, czy wszystkich ich zabił osobiście, czy najstarszych jednak pochłonęła wojna. Istotne są intencje.

Jeszcze niedawno byłem pewien, że powinienem oddać memu panu Marłę. Ale teraz poważnie się waham. Wciąż jestem na nią cholernie wściekły.

Za to, że nie dała nam żadnej szansy.

Za to, że zabiera dupę do tej pieprzonej, zarośniętej lasem, nudnej Kanady.

Za to, że wybrała tego swego martwego jak świąteczny indyk Einara.

A najbardziej za to, że wcale się nie odzywa, chociaż obiecała.

Więc to byłoby coś w rodzaju zemsty, a przecież nie o to chodzi. Zemsta nie ożywi boga wojowników nawet na chwilę. Od wendetty jest inny *orisza*. Bodajże Szango.

Za to coraz lepiej rozumiem się z Fabienne. Dużo rozmawiamy przez telefon. Jej miodowo-cytrynowy głos płynie po drucie przez morze, taki jasny, słodki i przyjazny. Słuchawka rozplywa się od miłych słów. Zdaniem Fabienne widać u mnie znaczną poprawę. Zrobiłem się rozumny i odpowiedzialny. Przemyślałem wiele spraw i wiem już, co naprawę jest ważne. Mówię wiele o rodzinie, bezpieczeństwie, stałej pracy i uczuciach. Dojrzałem. Odnalazłem prawdziwe wartości.

To oczywiście prawda.

Tylko kiedy pyta o mój powrót z Nigerii, staram się wykręcać.

Nie zrozumiałaby, gdybym powiedział jej prawdę. To naturalne. Nie może być inaczej. Przecież chodzi o sprawy mężczyzn. Sprawy Gu.

Im dłużej jestem z dala od niej, tym mocniej mi jej brakuje. Tęsknię. Myślę, że coraz bardziej mi na niej zależy.

To prawdziwe uczucie. Już nie lekarstwo na dojmujący smutek Afryki. Już nie sposób na powypadkową traumę.

Jeśli kiedykolwiek miałbym się ożenić, to tylko z Fabienne.

Ale, oczywiście, nie mogę mieć żony. To jasne.

Chociaż mogę się przecież oświadczyć. Tu, w romantycznej, pełnej magii Afryce. Kupiłem już nawet pierścionek. Ładny. Z brylantem. Taki w guście Fabienne. Chyba oplaca się ruszyć tyłek do Lagos, żeby dostać męża i błyskotkę za ładne parę docłów.

I cyrk na kijach, z padaniem na kolana w drogiej knajpie, piosenkami na zamówienie, wyznawaniem miłości i bukietami róż.

Fabienne powinna być zachwycona.

Patrzę na mrugające tęczowo oczko i nie umiem się oprzeć wrażeniu, że to brylant od Josa. Przemytnczy, mokry od krwi kamień, za który van der Groose kupił broń i konserwy obszarpanym milicjantom ze swojej prywatnej armii.

To byłoby całkiem zabawne. Lubię myśleć, że tak właśnie jest.

Siedzę w hotelowym barze i pijam „Mojito”.

Chyba podjąłem już decyzję. Moja głowa jeszcze nie jest do końca pewna, ale małe, skurczone, cierpkie serce mówi „tak”.

Boże, jak strasznie będzie mi jej brakować. Nie wiem, czy to przetrzymam. Nie wiem, czy starczy mi sił. Ale wiem, że to mój obowiązek.

Eze mi pomoże, choć tak naprawdę zostanę z tym sam.

Ja. Fabienne. I umierający bóg.

Dziś wieczorem.

Wieczorem wezmę do ręki słuchawkę, poczekam na ten cytrusowy, słoneczny głos.

I powiem: „Kochanie, proszę, przyjedź do mnie do Lagos. Jak najszybciej. Proszę, skarbie. Bardzo mi zależy. Na pewno nie będziesz żałowała. Zobaczysz, szykuję dla ciebie wspaniałą niespodziankę. Nie, pewnie, że nie mogę powiedzieć. Nie ma mowy. Och, bardzo ci się spodoba. Przysięgam. Pokażę ci moją ukochaną Afrykę. Nie, to porządny hotel, nie martw się. Obiecuję. Tak, oczywiście. Dobrze, do zobaczenia na lotnisku. Jasne, że wyjdę. Daj mi zaraz znać, jak tylko zabukujesz bilet. Tęsknię za tobą. Pa. Kocham cię, skarbie”.

Koniec opowieści pierwszej